PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 19 MARCA 1936 R. * NUMER 12 (129)

MARSZAŁEK I MŁODA POLSKA



S. NORBLIN 1935

Jedno dziś nie ulega wątpliwości, że w bliskim już czasie młode pokolenie, które dziś w burzliwy sposób debiutuje na arenie życia politycznego naszego społeczeństwa, osiągnie decydujący wpływ na kształtowanie rzeczywistości polskiej. Przesądza tę sprawę niezaprzeczalny, nieraz zresztą nazbyt brutalny dynamizm młodych, przy bierności i dużem zmęczeniu ideowem starszej generacji. Aczkolwiek moglibyśmy wykazać błędy, które wielce się przyczyniły do tego „zmęczenia ideowego“ społeczeństwa czynnego dziejowo w ostatniem ćwierćwieczu, mamy tu do czynienia z faktem naturalnym, nieodwracalnym, z odwiecznym faktem wypierania jednych pokoleń przez drugie; przyczem pokolenie, które przebyło wstrząs wielkiej wojny i szereg trudnych sytuacyj w okresie powojennym, zmęczyło się może przedwcześnie, wyczerpane samem bogactwem i rozpiętością swych przeżyć, dystansem przebytej pod wodzą Józefa Piłsudskiego drogi od stanu niewoli do stanu potęgi.

Mówiąc o młodych, mam na myśli całe młode pokolenie; daleki jestem od wyolbrzymiania wzorem publicystów zachowawczych, czy reakcyjnych, jednego tylko jego skrzydła ideowego: młodego n a c j o n a l i z m u polskiego. Rozpiętości ideowe w łonie młodego pokolenia są oczywiście — przy pewnych wspólnych rysach — tak znaczne, jak w starszem społeczeństwie; działające w niem kierunki powołują się zresztą na tradycje prądów społeczno-politycznych, działających w Polsce od końca XIX w. Nasuwa się pytanie, które nie przypadkiem stawiamy sobie w tak wzruszającą rocznicę o s t a t n i c h i m i e n i n M a r s z a ł k a: — czy młodzi, przeciwstawiający się — niemal bez wyjątku — dzisiejszej rzeczywistości polskiej, rozumieją i posiadają idee Józefa Piłsudskiego — tak jak niewątpliwie rozumieją już wszyscy oni ogrom znaczenia dziejowego postaci Odnowiciela Polski. Pytanie to jest tem bardziej aktualne, że próby doraźnego organizowania młodzieży na płaszczyźnie ideologji obozu Piłsudczyków nie zostały dotychczas uwieńczone większem powodzeniem. Młodzi idą własnemi drogami, są inni i chcą być i n n i.

Niedawno wyczytaliśmy w *Robotniku* artykuł znanego publicysty radykalnego p. Gustawa Leinwandhaendlera, który, wypowiadając się na temat ewolucji grupy ideowej młodych Piłsudczyków wileńskich, odbiegających coraz dalej od wytycznych z przed kilku lat i ulegających sile atrakcyjnej rewolucji sowieckiej, wyraził pod adresem wychowawców młodzieży serdeczny żal, że nie umieli zbliżyć wielkiej postaci Marszałka do umysłów i serc młodzieży.

Zarzut taki jest oczywiście tylko częściowo słuszny. Młodzieży nie można n a u c z y ć Marszałka Piłsudskiego. Duch Piłsudskiego musi zdobyć młodzież i s i ł a f a t a l n a tego Ducha będzie ją zdobywać, będzie — bo musi — prowadzić ją przez trudne sytuacje dziejowe i wszczepiać w nią poczucie odpowiedzialności za losy Polski. Młodzież nie może poznawać Józefa Piłsudskiego tylko od strony o f i c j a l n e j l e g e n d y, rozumnej i szlachetnej, ale martwej — tylko ż y w a m o c P i ł s u d s k i e g o — „wola mocy“ organizatora proletarjatu, płomiennego głosiciela walki z wszelkim wyzyskiem i uciskiem i z każdem jarzmieniem człowieka przez człowieka, potem twórcy wojska, zawsze żarliwego patrjoty, wkońcu zwycięskiego wodza, a także wielkiego reali-

K U Z I E M I

Z nad chłodnej ziemi milczenie wiotkiemi mgłami odpływa,
I świt wstępuje w arkadach na szare niebo ołowiu,
Pamięć ciemnemi lasami obrosła polne pustkowia,
W słońcu iskrami złotemi płoną żywiczne igliwia.

To już nie pożar śmiertelny, gdzie kraj się sypał popiołem,
To już nie ognie ostatnie — znaki zniszczenia, snu żagwie,
Wieczność złotemi lasami wybucha groźnie i nagle,
Niebo rzeźbione w kształt wiosny, krzepnie kulistym kościołem.

Sosny wiatrami zagrały — śpiewne godziny po nocy,
Smukłe pomniki po krzyku, w zniczach płonącej żałoby,
Zamarły dzwony wawelskie, ciszami kwitną ogrody,
Wiosenne, nocne milczenie z dali spogląda, jak oczy.

Pługi słoneczne po polach suną stalowo i ostro,
A ziemia żywa, jak ciało, a ziemia krucha, jak serce,
Po lasach wiosną zbudzono głazy, cierpliwe omszeńce,
I noce mgłami rozwiało i dnie słońcami zaniosło.

Oto przechodził o świcie... błękitnym blaskiem oślepił,
Oto powracał na Wawel i drzewom czoło pokłonił,
Żadne Mu sosny na trumnę, żadne Mu dęby na skronie —
Cień marmurowy w śmierć rzuca płomień żałoby daleki.

Wiosna kwiatami wytryśnie, ptakami cisze rozśpiewa,
Dana jest wieczność złocista polom i polom bez granic,
Tyle jest życia wśród wiosny ile jest śmierci za nami.
Czarne rozpękły owoce, z żalu się życie wysiewa.

Potoki wiosny prześmigną przez ziemię żołnierskich kości,
Śmiercią jak wichry błyskawic, śmierć już spróchniałą użyźnią,
Gorzką dojrzałość cierpienia obnaży śpiew nad ojczyzną
Wiosny, bogatszej niż inne o jedno imię wieczności.

Ciosane miasta, na szybach ojczyznę dźwigną płomienną,
Szkarłatne słońca poloty ziemię uniosą na skrzydłach,
Wschody, jak ptaki olbrzymie, zachody — wojenne widma,
A wszystkie z twarzą jedyną, a wszystkie z twarzą niezmienną.

Sczerniały w polach wspomnienia, bróździami biegną pod wiatry,
Wyszumi dzień sokiem wiosny, po lasach lustrzeją stawy,
Słońce chorągiew z purpury górnie zaciąga na Wawel,
I kraj polami ku nocy, lasami w pola otwarty.

Niebom zacisza błękitne rozrywa wiatr niewidomy,
Błyski jak miecze śniedzieją w mroku wiatrami nawianym,
Tyle jest smutku przed nocą, ile jest nocy przed nami,
Okrzepły zmierzchy, na pola milczenia spadają złomy.

Zagasa wieczór na drzewach i wieczność zwala w sny czarne
I tylko miłość nas, wierna, z podziemi zimnych nawiedza,
Srebrzeje w giętki szum sosen, noce wygładza na miedzach,
Aż w ziemię padnie wiosenną, sercem żołnierskiem, jak ziarnem.

JULJUSZ ZNANIECKI

zatora pokoju na Wschodzie Europy — każdy z tych aspektów działalności Marszałka, uzmysłowiony przez młode wyobraźnie w całym swoim epicznym patosie, a więc wolny od stygmatu legendy, a natomiast przeżywany realistycznie przez młodzież, chcącą tak samo — choćby w innych warunkach — kształtować dzieje, tak samo, jak to pięknie określił Adam Skwarczyński, uczynić „historję posłuszną woli ludzkiej", — będzie długo jeszcze organizował młode pokolenie Polski, ba — i teraz je organizuje.

Młodzież nie zadawala się rozpatrywaniem legendy Józefa Piłsudskiego, chce ona powtórzyć twórcze napięcie Jego życia. Młodzież chce także zdobywać Polskę wzorem Marszałka, chociaż już nie na zaborcach, tylko na starszem pokoleniu, choćby nawet pełnem wielkiej i szczytnej zasługi. Chce ona również Jego wzorem zmieniać Polskę, kształtować jej oblicze, tworzyć ją — jak On — od nowa w ramach takiej lub innej koncepcji przebudowy społecznej.

Możnaby powiedzieć, że młodzież zazdrości cieniom Marszałka, iż potrafił On w stopniu tak niezwykłym i rzadko spotykanym w dziejach świata zrealizować Swoje mity. I ona także tworzy swoje mity, przeciwstawia je otrzymywanym legendom i pragnie je zrealizować całem swem życiem. Przeciwstawiana jej mitom najpiękniejsza nawet legenda będzie tylko ciężarem [1].

Pozornie tylko na czoło młodzieży wysuwają się te jej ugrupowania, którym nie można przyznać takich aspiracyj, ugrupowania, operujące hasłami najpłytszemi, najłatwiejszemi, służącemi do szybkiego wyładowania temperamentu młodych ludzi, późno dziś dojrzewających (znacznie później, aniżeli w czasach konspiracji, niweczącej „syzyfowe prace" zaborców). Nie obawiamy się, aby miały zapanować nad Polską takie właśnie ugrupowania młodzieży, pochopnie przejmujące tradycje owej małej opozycji, co stale wlekła się płasko za trudem Największego Człowieka dziejów Polski. Duch Piłsudskiego panuje nad Polską i „rządu dusz" odebrać sobie nie pozwoli. Duch ten będzie nadal kroczył przed młodem pokoleniem i poprowadzi je do wielkości.

KAZIMIERZ ZAKRZEWSKI

[1] Przeciwstawianie legend i mitów przejmujemy z interesującego art. w nr. 2 pisma *Naród i Państwo* p. t. „Legendy i mit".

DRUGI TOR OŚWIATOWY

Skoro stosowanemi dotychczas metodami nie możemy wystarczająco dobrze i szybko rozwiązać zagadnień oświatowych i kulturalnych w Polsce, musimy szukać dróg innych. W jakim kierunku powinny iść te poszukiwania? W jednym z artykułów poprzednich [1], analizując wartość szkolnych i pozaszkolnych dróg oświatowych w dzisiejszej cywilizacji, próbowaliśmy wykazać rosnące znaczenie tej pracy, której formy różnią się zasadniczo od tradycyjnych form szkolnych. Z tego też stanowiska, gdy sprobujemy się wyzbyć wielu krępujących przesądów i jednostronnych dogmatów, można będzie zobaczyć nowe horyzonty i nowe możliwości pracy oświatowo-kulturalnej w Polsce.

Odsłaniają się one jednak dopiero na drugim szczeblu działalności oświatowej. Pierwszy jej etap — dostarczanie wykształcenia elementarnego przez szkołę powszechną — nie ukazuje żadnych możliwości odmiany. Dobra i dostępna dla wszystkich szkoła powszechna jest tą niewzruszoną podstawą, na której opierać się musi nietylko ustrój szkolnictwa wyższych stopni, ale również i wszelka inna praca oświatowo-wychowawcza. Ale po ukończeniu szkoły powszechnej stają przed młodzieżą różne możliwości. Wówczas też i polityka oświatowa musi podjąć trud najbardziej właściwego organizowania tych dróg w przyszłość. Otóż najbardziej zasadniczym problemem w tym zakresie są losy młodzieży, która nie wstępuje już do żadnej szkoły. Jak cytowane w poprzednich artykułach obliczenia statystyczne wykazują, około 80% dzieci w wieku 13 — 14 lat przestaje być uczniami. Znaczy to, iż tylko piąta część młodzieży wędruje dalej po szczeblach szkolnych wzwyż, natomiast cztery piąte „idzie w życie" w wieku niemal jeszcze dziecięcym. Ustawowy obowiązek dokształcania do lat 18 realizowany jest bardzo fragmentarycznie i nie można się łudzić, by odpowiednie szkoły podołały mu w najbliższej przyszłości. Skoro zaś szkoły podołać temu nie mogą, a młodzieży tej nie wolno zostawiać bez opieki, należy znaleźć dla niej inne formy realizacji. Widzimy je w organizacjach młodzieżowych. One to podjąć mogą skuteczną pracę nad wychowaniem i wykształceniem tej wielkiej rzeszy, która na przełomie dzieciństwa i młodości opuszcza na zawsze progi szkolne, one to grupując młodzież pozaszkolną w najniebezpieczniejszym, ale i najwdzięczniejszym dla pracy wychowawczej okresie kształtowania się osobowości, powinny zespolić ją z kulturą ojczystą, związać z ideałami służby państwu i bliźnim, dopomóc każdej jednostce do odnalezienia siebie i swego miejsca w życiu. Wielkie te cele wymagają podjęcia prac znacznie rozleglejszych i znacznie bardziej samodzielnych, niż te, które wykonywane są przez organizacje młodzieży szkolnej. Zadania te muszą polegać na pogłębianiu i rozszerzaniu wykształcenia przez zaspokajanie narastających wraz z wiekiem zainteresowań intelektualnych, na wyrabianiu głębszej kulturalnej postawy, na konkretnem kształtowaniu obowiązkowości i odpowiedzialności, na wytwarzaniu umiejętności współżycia i współdziałania, na kierowaniu pierwszemi krokami w dziedzinie pracy zawodowej, na opiece fizycznej i sportowej. W organizcajach takich młodzież powinna spędzać kilka lat swego życia. Młodzież męska winna je opuszczać dopiero w chwili rozpoczęcia służby wojskowej, która zamyka okres wychowania kierowanego. Po jej odbyciu człowiek będzie mógł iść samodzielnie swą drogą i szukać zespołów najbardziej sobie odpowiadających.

[1] „Drogi oświaty" — *Pion* 15. II. 1936.

Wartościowe wypełnienie tych rozlicznych zadań zależy od struktury organizacyjnej, która musi być przemyślana bardzo starannie. Zależy też od umiejętności ustosunkowania elementów intelektualno-światopoglądowych do pracy konkretnej, ćwiczącej odpowiedzialność. Trzeba umieć wyminąć oba przeciwstawne niebezpieczeństwa: niebezpieczeństwo dokrynerstwa, które rodzi się zawsze tam, gdzie brak konkretnych zadań i sprawdzianów oraz niebezpieczeństwo przytępienia praktycznego, które powstaje wówczas, gdy przesłonięte są dalsze horyzonty światopoglądowe. Trzeba wreszcie umiejętnie dostosować tok prac do warunków lokalnych, środowiskowych, domowych, zawodowych. Wszystko to są sprawy trudne, ale to pole pracy oświatowej nie może dłużej leżeć odłogiem. Czas najwyższy na jego uprawę.

Zagadnienie organizacyj młodzieży pozaszkolnej wiąże się ściśle z problemem kształcenia i dokształcania zawodowego. W zakresie jego dróg szkolnych nowa ustawa o ustroju szkolnictwa z roku 1932 uczyniła wielki krok naprzód, ale i w tej dziedzinie, podobnie jak we wszelkiej innej, możliwe i potrzebne są również i inne drogi. Szczególnie zaś w kraju rolniczym, w którym przeważa typ gospodarstw małych, podnoszenie poziomu zawodowego w zakresie wielu specjalności zależne jest nietyle od szkół, ile od bezpośredniej opieki, roztoczonej nad konkretnemi warsztatami pracy. Działalność instruktorska, pogłębianie praktyki, rozszerzanie zasięgu doświadczeń mają tu znaczenie większe niż wiedza fachowa, zdobyta przez nieliczne jednostki w szkołach specjalnych. Znaczenie to wzrasta tem bardziej, iż poziom działalności zawodowej nie zależy tylko od zasobu wiadomości, ale — w stosunkach wiejskich jest to szczególnie wyraźne — od wyrobienia społecznego, od umiejętności zrzeszania się w pracy, od zdolności wytrzymania konkurencji, od inteligentnego planowania i rozumienia prawdziwych korzyści. Dobro i poziom zawodu wymagają, by walka z przesądami ciemnoty i walka z jednostkowym egoizmem były przeprowadzone zwycięsko. Z tych względów wszelkie dokształcanie zawodowe musi być zarazem kształceniem społeczno-intelektualnem, musi wiązać się bezpośrednio z warunkami i możliwościami lokalnemi.

Ten życiowo-konkretny charakter posiadać powinno nietylko dokształcanie zawodowe, ale również i kształcenie nowych sił fachowych. Jak widzieliśmy bowiem w jednym z poprzednich artykułów wartość przygotowania szkolnego w tym zakresie wciąż maleje. Wydaje się rzeczą coraz bardziej niewątpliwą, iż w większości zawodów osiągnąć można dobry poziom sprawności dzięki terminatorstwu uzupełnianemu teorją. Dla różnych zawodów w różny sposób oba te elementy muszą być określone i ustosunkowane: w pewnych warunkach krótkie przygotowanie teoretyczne powinno poprzedzać okres terminatorstwa, w innych kolejność powinna być odwrotna, w pewnych dziedzinach pracy terminatorstwu powinno stale towarzyszyć dokształcanie teoretyczne, w innych powinno ono odbywać się w pewnych okresach czasu, w przerwach między jedną i drugą fazą praktyki. Taka organizacja nietylko podnosiłaby poziom sprawności zawodowej w terenie, ale ułatwiałaby również awans zawodowy jednostkom zdolniejszym, którym los tak ułożył warunki życiowe, iż nie mogły one iść drogą normalną, przechodząc z jednego szczebla szkolnego na drugi, aż do najwyższych Jednostki takie szłyby zupełnie inną drogą: drogą praktyki i dokształcania. Droga ta aż do samego końca nie wykazuje punktów stycznych z drogą szkolną. Jeśli szkoły wyższe strzegą tak usilnie zasady, iż prawo wstępu do nich przysługuje tym tylko, którzy przerobili kurs szkolny, to postępują o tyle słusznie, iż sposób ich pracy i jego skuteczność opierają się na tem przysposobieniu, którego dostarczać mogą tylko szkoły niższego i średniego stopnia. Ale nie wynika stąd, by ta droga była jedyną. Dla ludzi kształcących się przez praktykę działania potrzebne są nietylko instytucje dokształcające na niższych poziomach, ale równie potrzebny jest jakiś nowy typ „szkoły" wyższej.

Szczególnej wyrazistości i doniosłości nabiera to zagadnienie w Polsce, gdzie procent młodzieży, która ma zdolności, ale nie może przejść stopni normalnej hierarchji szkolnej jest wielki. Na tem tle zarysowuje się też w świetle zgoła odmiennem od tego, które padało w ostatnich dyskusjach, sprawa Wolnej Wszechnicy. Może nigdy tak bardzo, jak dziś, nie było u nas potrzeba takiej uczelni, którаby, nie zważając na szkolną przeszłość kandydata, przyjmowała go w swe mury i oceniała jedynie według aktualnych wyników, takiej uczelni, którаby idealny wzór wymagań określała na podstawie konkretnych potrzeb życiowych i osobowych, a nie na podstawie szkolarsko-specjalizacyjnej. Wolna Wszechnica, z tej intencji wyrosła, była na drodze realizowania w nowych warunkach nowego typu uczelni wyższej. Uczelnia taka powinna służyć tym wszystkim potrzebom oświatowym, które w zakresie zawodowym i ogólno-kształcącym nie znajdują zaspokojenia na tradycyjnych drogach szkolnych oraz powinna opiekować się ludźmi, którzy tamte drogi musieli rzucić bardzo wcześnie. Dlatego dzisiejsza ewolucja Wolnej Wszechnicy, upodabniająca ją do uniwersytetów, wydaje się nietylko wyłamaniem się z własnej tradycji, ale również pewną rezygnacją z wypełniania tej funkcji oświatowej, której potrzeba jest w Polsce bardzo wielka, a której żadna uczelnia nie zaspakaja.

Rozważania niniejsze, ukazujące możliwości innego niż tradycyjny sposobu wyrabiania sprawności zawodowej spotkać się mogą łatwo z zarzutem, iż na tych drogach nie udałoby się nigdy osiągnąć tego poziomu zawodowego, jaki zapewniają szkoły, oraz, że stworzenie im takiej konkurencji musiałoby odbić się ujemnie na wynikach ich pracy. W odpowiedzi na te zarzuty trzeba jednak przedewszystkiem zdawać sobie sprawę z tego, iż — jak to wykazywaliśmy w jednym z dawniejszych artykułów [1] — poziom wykształcenia, zapewniany przez szkoły, uchodzi za niezmiernie ważny i nietykalny raczej ze stanowiska potrzeb i kryterjów szkolnych, niż ze względu na rzeczowe wymagania konkretnej pracy zawodowej. Im zaś większy rozdźwięk zachodzi między obu temi rodzajami wymagań — a rozdźwięk ten dziś staje się coraz wyraźniejszy — tem mniejszą gwarancję utrzymania poziomu działalności zawodowej daje wykształcenie szkolne. Dlatego choćby nawet organizowanie tych nowych, praktycznych dróg kształcenia miało, przez konkurencję, obniżyć poziom przygotowania szkolnego, nie wynikałoby stąd, iż musiałoby obniżyć poziom sprawności zawodowej.

W związku z kształceniem i dokształcaniem zawodowem, które prowadzone być powinno częściowo w łonie organizacyj młodzieży, częściowo poza terenem ich działania, pozostaje sprawa podnoszenia i pogłębiania kultury ogólnej drogą samokształcenia jednostkowego i grupowego. Intensywność potrzeb samokształceniowych jest w wielu ośrodkach w Polsce bardzo wielka. W sposób wytrwały i często zdumiewająco zwycięski walczą one z przeciwnościami, odnajdują własne formy wyrazu i zaspokojenia, zdobywają narzędzia i tereny pracy. Podtrzymując i zaspakajając te potrzeby na różnych poziomach intelektualnych, w różnym wieku, w różnych warunkach, osiągnąć można wielkie i trwałe wyniki. Trzeba tylko porzucić wygodne przekonanie, iż samokształcenie polega na takiem zdobywaniu oświaty, iż nikt nikomu i w niczem nie dopomaga, i że dlatego nie można go czynnie organizować. Prawda jest zupełnie inna. Samokształcenie, mimo iż wyrasta z najbardziej osobistych potrzeb jednostki — a może właśnie dlatego — wymaga pomocy i zachęty, szuka wzoru i uznania, z ufnością oddaje się wybranym przewodnikom i z radością promieniuje na innych. Jeśli natężenie procesów samokształceniowych w społeczeństwie naszem ma silnie wzrosnąć, trzeba akcji świadomej i planowej.

Akcja ta musi umiejętnie rozwiązać dwa ważne problemy: programowy i organizacyjny. W zakresie programu istota trudności polega na tem, iż potrzeby samokształceniowe i zainteresowania oświatowe mają zupełnie inną strukturę niż wiedza fachowa, podzielona na różne gałęzie nauk i pielęgnowana przez specjalistów. Procesy samokształceniowe, żywe i osobotwórcze, związane są zainteresowaniami konkretnemi, to znaczy szukają one zrozumienia tych faktów i tych zdarzeń, które dane nam są w rzeczywistości, jako pewne nierozłączne kompleksy elementów, jako realne całostki. Nauka zaś — w różnych swych rozgałęzieniach — dostarcza wiedzy o „dziedzinach" sztucznie skonstruowanych, o elementach rozdzielczych i ugrupowanych zupełnie inaczej, niż to jest w bezpośredniem doświadczeniu i przeżyciu dostępne. Stąd rozdźwięk. I tem się tłumaczy, iż ludzie zainteresowani pewnemi fragmentami rzeczywistości przeżywają przykre rozczarowanie w stosunku do wiedzy, w chwili gdy probują swe zainteresowania zaspokoić poznawaniem tej gałęzi nauki, która miała właśnie dany fragment rzeczywistości dokładnie pokrywać. Na najniższym stopniu nauczania szanuje się tę życiowo-konkretną postawę i, jak tego wymagają różne rodzaje nauki łącznej, zapoznaje się dziecko z całostkami rzeczywistości, a nie z poszczególnemi i wyodrębnionemi „przedmiotami", któreby reprezentowały odpowiednie gałęzie nauk. Ale tylko dzieciom przyznaje się ten przywilej łącznego widzenia rzeczywistości i całostkowego zaspakajania zainteresowań, w stosunku zaś do młodzieży i w stosunku do dorosłych uchodzi za rzecz właściwą wymagać podporządkowania się w stawianiu pytań i szukaniu odpowiedzi klasyfikacjom wiedzy. A jednak młodzież i dorośli, podobnie jak dzieci, pragną przedewszystkiem rozumieć rzeczywistość, a nie zaznajamiać się z poszczególnemi naukami — i rzeczywistość tę, która ich interesuje, rozumieją naprawdę wówczas tylko, gdy ją widzą konkretnie, to znaczy wielostronnie i całostkowo. Ludzi, pragnących rozszerzyć i pogłębić własną kulturę intelektualną, interesują zazwyczaj takie problemy, które nie znajdują wyjaśnienia na terenie jakiejś jednej nauki, ale wymagają odpowiedzi wielu nauk. Takie całostkowe i konkretne zagadnienia, jak naród lub rasa, religja a życie społeczne, czynniki rozwoju dziejowego, ludzie genjalni, mechanizm postępowania człowieka, dusza i ciało, powstanie życia, determinizm itp. nie dają się przydzielić bez reszty żadnej określonej nauce. Ale w działalności, mającej na celu pomaganie samokształceniu ten swoisty rodzaj zainteresowań intelektualnych winien być na każdym poziomie respektowany równie troskliwie, jak się to dzieje w stosunku do dzieci, poczynających się uczyć.

Dlatego organizowanie programów pracy samokształceniowej według wymagań konkretnych zainteresowań, a nie według dyscyplin naukowych, organizowanie ich tak, aby zaspakajały i podniecały zainteresowania, a nie tak, by odzwierciadlały stan badań w poszczególnych dziedzinach wiedzy — jest ważnem i wielkiem zadaniem. Trudność zaś jego polega nietylko na takiem przeorganizowaniu naszej wiedzy, by jej światła rzucane rozbieżnie z różnych specjalnych punktów widzenia skupić i zużyć na wielostronne oświetlenie konkretnych, całostkowych faktów i zdarzeń. Trudność i na tem polega, iż sama prawomocność tego zadania bywa poddawana w wątpliwość. Czasami uczeni, ale najczęściej ciaśni specjaliści przekonywają, iż struktura wiedzy nie może być naruszana i przeorganizowywana na użytek oświaty. Zainteresowania oświatowe i praca samokształceniowa powinny się nagiąć do wymagań specjalizacyjnych i znaleźć ujście w ich określonych łożyskach. Stanowisko to jednak — jak to probuję uzasadnić dokładnie gdzieindziej — prowadzi do przygłuszenia żywotności potrzeb oświatowych, a nawet, oddzielając naukę od obowiązku zaspakajania konkretnych zainteresowań, sprawia, iż badania naukowe wyradzają się w bezduszne ćwiczenia pojęciowe, coraz dalsze od rozumienia rzeczywistości.

Drugi problem polityki oświatowej, budującej na samokształceniu, ma charakter organizacyjny. Organizacja na tem polu musi być jaknajmniej biurokratyczna i jaknajmniej sformalizowana. Musi być różnorodna i zmienna, łatwo dostępna i żywotna, gotowa do świadczeń i darzona zaufaniem. Winna raczej ułatwiać i informować, niż narzucać i kierować. Im mniejszy będzie dystans wszelakiego rodzaju między kierownikami i uczestnikami, im mniej natarczywą i zarozumiałą opieka i rada, przychodzące z zewnątrz i zdaleka, tem lepiej. Dyskrecja i umiar, jakiemi odznaczać się powinien potrzebny tu typ organizacyjny, są tak wielkie, iż ludzie przyzwyczajeni do myślenia biurokratycznego skłonni są mniemać, iż w ten sposób zezwala się na chaos nieodpowiedzialny. Skoro zaś nie pozwoli się im samokształcenia zorganizować „lepiej", wypowiadają chętnie przekonanie, iż dziedzina ta nie nadaje się wogóle do organizowania. Takim realistom biurokratycznym — z którymi w tej negacji godzą się uduchowieni indywidualiści, będący przeciwnikami wszelkiego organizowania kultury — należy przypomnieć, jak wielkie i wyraźne zadania do spełnienia miałaby taka organizacja samokształceniowa choćby tylko w zakresie pomocy rzeczowej (np. książek, obrazów, materjałów i t. p.).

Zrozumienie, iż typ organizacyjny na tem polu pracy musi być zupełnie swoisty i nowy jest szczególnie ważne dlatego, iż łatwo na podstawie fałszywych analogij probować upodabniać go do typu organizacji szkolnej. Tymczasem administracja szkolna oraz nauczycielstwo przyzwyczajone są do zupełnie innego stylu działania oświatowego. Są przy-

[1] *Pion*, 1. II. 1936.

zwyczajone do tego, iż program ich pracy jest określony wyraźnie i niezmiennie, zgóry i na długie lata, dla wszystkich jednakowo. Do tego, że kontrola musi być dokładna i surowa, według jednolitego regulaminu, i do tego, że wyniki nauczania muszą być sprawdzane i poświadczane. Do tego, że należy wymagać, narzucać, rządzić i mieć rację. Innych kwalifikacyj potrzeba w pracy samokształceniowej. Dlatego — jak wiadomo — dobry nauczyciel szkolny rzadko bywa dobrym działaczem oświatowym, a urzędnik, celujący w administracji szkolnej, umiejętnym organizatorem tamtej działalności. Dlatego prowadzenie akcji samokształceniowej przez nauczycielstwo i organy administracji szkolnej spotkać się musi z bardzo poważnemi zastrzeżeniami. I ludzie muszą tu być inni i styl organizacyjny odrębny. Ten sam wniosek — szczególnie jeśli chodzi o przodowników oświatowych — wynika z poprzednich rozważań programowych. Do zaspakajania potrzeb oświatowych lepiej niż specjaliści nadają się ludzie o szczególnych wartościach społecznych, o wybitnych zdolnościach pobudzania i promieniowania intelektualnego, o swoistym darze czynienia z nauki wiedzy żywej i osobowo potrzebnej. Ponieważ zaś nauczycielstwo, z przygotowania i rutyny, wykwalifikowane jest właśnie w popularyzowaniu specjalności naukowych, przeto rozumiemy dlaczego — pomijając wyjątki — nie nadaje się ono do pełnienia funkcyj przodowniczych w zespołach samokształceniowych. W ten sposób dochodzimy do zrozumienia, iż popieranie samokształcenia stanowi odrębną i ważną sprawę, która musi być przemyślana i organizowana od podstaw.

Omawiane tu drogi rozwoju oświatowo-kulturalnego, drogi prowadzące, po ukończeniu szkoły powszechnej, przez wychowawcze organizacje młodzieży, przez terminatorstwo i dokształcanie zawodowe oraz przez samokształcenie są spokrewnione i współzależne. Przy układaniu dokładnego schematu organizacyjnego ujawniłyby się wyraźnie te zazębienia. Ale cel tych uwag jest inny.

Myśli tu wypowiedziane nie mają charakteru konkretnych projektów organizacyjnych. Trzeba bowiem wystrzegać się przedwczesnego i nieopartego na bardzo dokładnych studjach projektowania. Ale z a s a d y muszą być jasne, zanim rozpocznie się takie studja przygotowawcze. O te zasady właśnie nam chodzi. Sądzimy mianowicie, iż zadania oświatowo-kulturalne realizować można na drogach dwojakich. Jedna droga jest tradycyjną, normalną drogą szkolną i prowadzi od szkółki powszechnej przez różne rozgałęzienia szkolnictwa ogólnokształcącego lub zawodowego na stopniu średnim do uczelni wyższych. Droga do nauki przygotowawczej, teoretycznej, wieloletniej, droga ćwiczeń abstrakcyjnych i sztucznych, droga egzaminów i dyplomów. Ale jest jeszcze droga inna. Od chwili osiągnięcia wykształcenia elementarnego wiedzie ona przez pole życiowego trudu, wyraża się wrastaniem w kulturę narodu i uczestniczeniem w jego pracach; przez terminatorstwo, przez samokształcenie, przez doświadczenie rozszerza się horyzont wiedzy, usprawnia myśl i ręka. Ta druga droga, uważana od lat za gorszą, niegodną zaufania drogę życiowych rozbitków lub ambitnych a biednych parwenjuszów, zyskuje w dzisiejszych warunkach cywilizacyjnych znaczenie i wartość samoistną. Widzimy to wszędzie w świecie coraz lepiej i spodziewać się możemy, iż rola jej będzie wzrastać.

W Polsce zaś jesteśmy w takiej sytuacji, iż zadania dostarczenia wszystkim dobrej oświaty, wytworzenia dostatecznej liczby przodowników i sprawiedliwego rekrutowania elity nie mogą być ani teraz, ani w widocznej przyszłości zaspokojone całkowicie przez tradycyjną organizację szkolną. Wypełnia ona te zadania tylko w ograniczonym zakresie, tylko na pewnych odcinkach życia, tylko wśród pewnych warstw ludności. Nie obejmuje ona całego narodu, nie ułatwia dążeń oświatowych t. zw. warstw niższych, nie prowokuje ich wysiłków i nie rozszerza zasięgu kultury. Jest wyrazem i czynnikiem stabilizacji struktury kulturalno-społecznej. Z tego zastoju, który oznacza z roku na rok coraz większe zacofanie, wyprowadzić nas może tylko ta druga droga. Zdecydowane wstąpienie na nią — na tę drogę pozornie „nienormalną“, ale w istocie znacznie normalniejszą niż sztuczna droga szkolna, która tylko dzięki przyzwyczajeniu uchodzi za jedynie normalną — pozwoli stosunkowo szybko i wydatnie podnieść poziom oświaty i dokonać demokratyzacji naszej kultury.

Droga ta nie jest w Polsce nieznana, ale nie znajduje dotychczas dostatecznego zrozumienia nawet wśród tych wszystkich, którzy mają bezpośredni związek z działalnością oświatową. Dwa rodzaje przesądów, dawne i nowe, przeszkadzają widzieć i oceniać jej doniosłość. Z dawnego punktu widzenia wydaje się, iż pozaszkolne usiłowania są jakąś niedoskonałą namiastką prac szkolnych, że je zastępują tylko do czasu, że nie wydają rezultatów ważnych społecznie. Wciąż jeszcze panują tu arystokratyczne zabobony, według których działalność taka jest trochę dobroczynnością, trochę popularyzacją, trochę zabijaniem czasu przez znudzonych inteligentów, i że brać się do niej może każdy, ponieważ nie wymaga ona żadnych poważniejszych kwalifikacyj naukowych, pedagogicznych i społecznych. Nowe przesądy mają inny charakter. Według nich i młodzież pozaszkolną i dorosłych należy tylko agitować i urabiać politycznie. Nie trzeba i nie można kształcić ich i wychowywać. Praca obliczona jest na rezultaty szybkie i widoczne. Oba te rodzaje przesądów stanowią dla rzetelnej działalności oświatowej niebezpieczeństwa bardzo wielkie i wiele usiłowań idzie na marne, zatrutych u samych źródeł tym fałszem. Ale jednak, mimo wszystko, pozaszkolna praca oświatowa dojrzewa u nas w swej samodzielności, określa coraz wyraźniej zadania i metody, stawia coraz poważniejsze wymagania. Z pogłębieniem jej tętna łączą się nasze nadzieje co do przyszłości demokratycznej kultury w Polsce.

BOGDAN SUCHODOLSKI

PRETENSJE DO KRYTYKI

Im więcej mnoży się autorów, tem częściej występują fale pretensyj do krytyki. „U nas...“, „nasza krytyka“, „nasi krytycy“ — znamy ten pieszczotliwy refren. „Nasi krytycy“ jednak zwykle nie odpowiadają; ja zrobiłem to przed kilku laty, kiedy fala była najsilniejsza (rozprawka „O godność krytyki“ w zbiorku *Słoń wśród porcelany)*, — ale snadź bezskutecznie, bo nasi autorzy, i autorki, niczego nie przyjmują do wiadomości, co od nich samych nie pochodzi. Oto p. Grabowska w artykule „Dzieło, autor, krytyka“ *(Pion* nr. 7/124) na mnie właśnie osobiście wskazuje jako na tego, który stosuje z konserwatorskim uporem do wszystkich (!) „ocenianych autorów mierniki subjektywnie (?) standardowe (?)“ (wykrzykniki i pytajniki ode mnie pochodzą), a następnie wspomina coś ogólnikowo o „krytykach apriorycznych, płytkich krzykaczach“ w przeciwstawieniu do „sumiennych badaczy“.

Zwracam uwagę p. Grabowskiej, że skoro wydałem całą książkę zasadniczą, — *Walka o treść*, w której także zadania i zagadnienia krytyki obszernie roztrząsam, i skoro również w *Benjaminku* złożyłem swoje wyznanie co do metody używanej przeze mnie w recenzjach teatralnych, — to p. Grabowska powinna się była z tem zapoznać, zanim ot tak sobie, lekkomyślnie, wczambuliła mnie do nieokreślonej masy „naszych krytyków“. Sama nie dała tem przykładu ani sumienności ani głębokości.

Co to znaczy mierniki subjektywnie standardowe? Oczywiście jeżeli pochodzą ode mnie, to są subjektywne. Nie mogę przecież przy każdej recenzji latać do prof. Kridla, czy p. Piaseckiego lub Skiwskiego o wypożyczenie mi ich miernika, poto tylko, ażeby nie używać swego i dogodzić p. Grabowskiej. W tem znaczeniu mój miernik zawsze będzie subjektywnym, — ale ja sądzę i mam dobrą wiarę i dobre podstawy do tej wiary, że jest on objektywnym, dla wszystkich ludzi obowiązującym, najlepszym na świecie. Nigdy i nigdzie do żadnego urzędu nie zgłaszałem relatywistycznego wyznania wiary, nigdy nie mówiłem: „obaj mamy rację, choć inną“ ani „nie to ładne co ładne, lecz co się komu podoba“. Jeżeli p. Grabowska pisze, że dopiero „Zjazd im. Krasickiego, poruszył (!) sprawę stworzenia objektywnych i bezwzględnych kryterjów oceny dzieła literackiego“ ale „sprawy nie rozstrzygnięto, jest zbyt nowa (?!)“, to mnie tylko bawi, bo ja na Zjazd nie czekałem i czekać na jego owoce nie będę, sam sobie sprawę rozstrzygnąłem w swojem krytyckiem sumieniu, jak setki krytyków przede mną. „Nie istnieją do dziś mierniki wartości dzieła“ zdaniem p. Grabowskiej. Ale w takim razie nikt nie byłby winien, więc o cóż pretensje? Dla mnie one istniały i istnieją, przeszedłem dość gruntowną niemiecką szkołę i co do poetyki (dział figur) i co do dramaturgji (proszę co do obu tych spraw przejrzeć moje dziełko o Hebblu), w cieniu tych pił, które dopiero dziś zachwycają polską młodzież literacką, przeżyłem garstkę lat, nagromadziłem wiele doświadczeń,—*mein Liebchen, was willst du noch mehr?*

W rozprawie „O godność krytyki“ wyłuszczam, że krytyka jest sztuką stosowaną, że recenzent i krytyk są skrępowani i rozmiarami odcinka w dzienniku i wymaganiami publiczności, przeto krytyka nie może być tem, czemby mogła być np. jakaś praca laboratoryjna (seminaryjna) na temat diagnozy jakiegoś dzieła literackiego, wyliczająca pod I, II, III, 1, 2, 3, *a*, *b*, *c*, wszystkie cechy tego dzieła, styl, metafory, treść, proporcje, budowę, myśl i t. p. — mam na myśli jako wzór elaborat Witkiewicza o *Wniebowstąpieniu* Rytarda (o czem pisałem w *Walce o treść)*. Krytyk dziennikarski musi obrać postępowanie skrócone, człony jego rozumowania mogą się albo zupełnie ukrywać, albo chwilami tylko przebłyskiwać, w jakimś zwrocie, przymiotniku, wnioski mogą wyprzedzać przesłanki i t.p. Co do mnie to zwykle starałem się dawać dowody, i nieraz wytykano mi, że właśnie o utworach gorszych szerzej piszę, niżby wypadało według kontyngentu przyznawanego danemu autorowi (*X* jest wart 30 wierszy, *Y* 70, *Z* tylko 15 lub nic). *Vademecum* w 10 przykazaniach dla recenzentów jest też w *Słoniu* zawarte.

Wolałbym, żeby p. Grabowska, autorka dramatu *Sprawiedliwość*, zgłosiła jakiś żal konkretny co do tej lub owej mojej recenzji, bo wtedy merytorycznie wiedziałbym o czem mowa. P. Grabowska skarży się tylko ogólnikowo na „brak zrozumienia“, na „krytykę zniechęcającą“, na rozgoryczenie, siane przez tych brzydkich pośredników. Jakoś jednak jest dziś na arenie publicznej około 15 talentów kobiecych, jedna genjalniejsza od drugiej, i napływ nie ustaje, i krytycy nie mogą sobie dać rady z tym fenomenem. Ale p. Grabowska z delikatności woli przerzucić sprawę indywidualną na tło ogólne i nawiązuje do dyskusji na Zjeździe im. Krasickiego, dotyczącej przedmiotu badań literackich i historji literatury, kiedy to prof. Kridl i tak zwani niesłusznie formaliści dowodzili, że tym przedmiotem może być tylko samo dzieło literackie, a nie biografja i ideologja autorów, oraz genetyka dzieł.

Niedawno na zebraniu klubowem prof. Kridl znowu obszernie omawiał ten temat, i znowu była gorąca dyskusja. Pozwalam sobie tutaj naszkicować to, co wtedy oświadczyłem jako krytyk:

Profesorzy uniwersytetów i gimnazjów mają odmienne interesy niż krytycy aktualni. Oni badają i nauczają twórczość poetycką już dobrze ustaloną: Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, choćby Norwida, Żeromskiego i t. d. Oni nie są odpowiedzialni za bieżące losy literatury polskiej. To też lubią w stosunku do bieżącej twórczości przybierać ton protekcyjny, wujaszkowski, aby zyskać opinję ludzi obdarzonych intuicją i dobrym smakiem. Bo ich to nic nie kosztuje. Natomiast krytyk za każdym razem znajduje się wobec rzeczy nowych, nieustalonych, musi sam rozstrzygać, często pod terrorem krytyki nieoficjalnej, terrorem szkół, klik, partyj i stosunków towarzyskich. On dopiero dokonywa selekcji, przygotowuje materjał dla przyszłych profesorów.

Tedy p. Grabowska zupełnie niesłusznie domaga się, aby krytyk traktował utwory produkcji bieżącej tak jak się traktuje np. *Króla Ducha* (to bowiem wynika z jej wywodów). Do czego by to doprowadziło! Jakiego aparatu krytycznego wymagałaby każda lichota! Bo skądże się wie, że to lichota? Ta sytuacja jest beznadziejna, dla jednej i dla drugiej strony. Krytyk oczywiście powinien sobie z tego zdawać sprawę. Wątek sprawiedliwości krytyckiej niknie tu w kłębowisku wzajemnych wpływów socjologicznych, tak samo jak wszystkie inne wątki.

Ale p. Grabowska znajduje pewien fantastyczny sposób. Oto ponieważ sam „czas-krytyk“ dokonywa w literaturze selekcji — mniej więcej tak jak mrówki oczyszczają szkielet — więc niechże krytyk „podpatruje czas“, niech „wykrada mu tajemnicę jego kryterjów“, niech rozpatruje każde dzieło *sub specie aeternitatis*.

Naturalnie, *besser ist besser*. Nie mam nic przeciw temu. Tylko że nietylko mnie, ale z pewnością i moim kolegom zdaje się, że to właśnie robimy.

Zresztą całkiem nie wierzę w objektywnie selekcyjną właściwość czasu. Ile razy czytam: „czas to pokaże“, „pokaże przyszłość“, „do tego faktu nie mamy jeszcze dziś właściwego dystansu“ — urągam wewnętrznie. Zwłaszcza słówku „dystans“ przetrąciłbym nóżki. Właśnie dzisiejszość wie najwięcej, dzisiejszość najlepiej swoje dzieła rozumie i ma do nich najlepszy dystans; jeżeli dzisiejszość jest głupia, to jej wina, ale i wszelka przyszłość będzie obciążona własną głupotą.

Postulaty p. Grabowskiej sprowadzają się właściwie do tego, żeby krytycy posługiwali się dobrą poetyką. Naturalnie. Nic to nowego. Ale najlepsza poetyka nigdy nie będzie dawała gwarancji absolutnej, matematycznej, takiej jaką dawała waga w *Żabach* Arystofanesa, którą się posługiwali bogowie przy ocenie dramaturgów greckich. Zamiast piły biograficznej i ideologicznej wystąpi na widownię jeszcze gorsza i straszniejsza piła: technicyzmu literackiego. Oczywiście także nasza literatura musi przejść przez to; zapewniam p. Grabowską z doświadczenia, że tutaj zbójectwo i dowolność nas krytyków będą jeszcze większe i przykrzejsze. I bardziej narażone na śmieszność, bo uwagi biograficzne, ideologiczne i t. p. mają zawsze jakąś wartość (jako kawałek historji, jako publicystyka, psychologja, socjologja), podczas gdy poetyka, jeżeli nie jest bardzo dobra, jest śmieszna i pretensjonalna.

KAROL IRZYKOWSKI

PSYCHOLOGJA HUMANISTYCZNA

Już cztery dziesięciolecia minęły od chwili, gdy odkrywca swoistości nauk humanistycznych, Dilthey, wysunął koncepcję psychologji, która mogłaby dostarczyć podstaw psychologicznych dla humanistyki. Koncepcja ta, głośna przeważnie w Niemczech, uległa wielu przekształceniom, których głównym sprawcą był Spranger. W Polsce zwrócono mało uwagi na ten kierunek psychologji, czego dowodem jest zapewne fakt, iż teorja tego kierunku jest przesycona naleciałościami metafizycznemi. Można jednak spróbować zmodyfikować koncepcję psychologji humanistycznej w sposób wolny od zbędnych założeń i tendencyj metafizycznych, co poniżej staramy się uczynić.

Badania psychologiczne dotyczą najczęściej życia psychicznego, już w pewien sposób spreparowanego, a mianowicie przeżyć elementarnych, wyizolowanych z całokształtu życia psychicznego i oddartych od konkretnego związku z otaczającym światem. Takie badania przedstawień, sądów, uczuć, postanowień prowadzą do wykrycia ważnych i interesujących praw, nie mogą jednak dostarczyć odpowiedzi na wszelkie zagadnienia, które w psychologji można i należy postawić. Istnieje bowiem możliwość i potrzeba stworzenia w obrębie psychologji problematyki, jakgdyby na rozmaitych „poziomach“, problematyki wielowarstwowej, przyczem jedna z warstw jest właściwą domeną psychologji humanistycznej.

Na warstwę tę natrafiamy, szukając w obrębie życia psychicznego naturalnych całości psychologicznych, t. j. takich przeżyć, czy też ich kompleksów, któreby nie były wyróżnione przy pomocy jakiejś abstrakcji, lecz — że tak powiem — „pierwotnie zastane“. Taką całością jest życie psychiczne jednostki ludzkiej, strumień jej przeżyć od urodzenia do śmierci. Bywa ono niekiedy przedmiotem badań, np. gdy chodzi o wyróżnienie głównych faz życia ludzkiego i tendencyj niem rządzących. Psychologja musi jednak wyodrębnić dalsze całości, zniekształcając już przytem w pewnej mierze naturalny obraz życia psychicznego. Zniekształcenie to jest minimalne przy rozpatrywaniu chronologicznych całości przeżyć, skupionych razem w pewnym okresie czasowym, np. życia psychicznego pewnego dnia, czy pewnej godziny. Opisy tego rodzaju całości znajdujemy w literaturze pięknej. Dla psychologa bardziej interesujące są całości przeżyć, które nie muszą skupiać się w jednym okresie czasu. Zaliczymy do nich pewne szeregi przeżyć, tworzące całość ze względu na to, iż są częściowo przyczyną powstania pewnych wytworów psychofizycznych, jak np. przeżycia, związane z napisaniem pracy naukowej, namalowaniem obrazu i t. d. Przeżycia te nie muszą następować bezpośrednio po sobie, mogą tworzyć całość przeżyciową o fazach niełącznych, t. j. składać się z szeregu faz danej czynności twórczej, oddzielonych od siebie mniej lub więcej długotrwałemi przerwami. Inne szeregi przeżyć tworzą pewne całości przeżyciowe ze względu na to, iż związane są z postawą odbiorczą względem pewnego wytworu (np. filmu, powieści), z pewnym stosunkiem społecznym nietrwałym (np. z partją szachów) lub trwałym (np. z przyjaźnią, z wychowaniem dziecka), ze stosunkiem człowieka do siebie samego, do zespołów ludzkich (np. do rodziny, państwa) i do zespołów wytworów (np. do muzyki, liryki i t. d.). Tego typu całości przeżyciowe odcinają się na tle całokształtu życia psychicznego jako coś odrębnego, w sposób wcale wyraźny, nie zatracając mimo to związku z tym całokształtem.

Całości takie nazwać można w odróżnieniu od przeżyć elementarnych „całością wyższego rzędu“, całokształt zaś życia psychicznego jednostki „całością przeżyciową najwyższego rzędu“. Bliższe rozpatrzenie całości przeżyciowych wyższego rzędu wykazuje, iż niebrak im cech wspólnych. Charakteryzuje je np. ciągłość nawet wówczas, gdy składają się z faz odległych od siebie czasowo. Dzięki pamięci może człowiek, przeżywając pewne rzeczy w danej chwili, przypomnieć sobie przeżycia odległe czasowo, lecz ściśle z obecnemi związane. „Odradzają się“ wówczas w nim potrzebne prze-

konania, uczucia, pragnienia i postanowienia, aktualizują się potrzebne w danej chwili nastawienia i dyspozycje i w ten sposób następuje naturalne nawiązanie do poprzedniej fazy danej czynności twórczej, czy innej. Charakteryzuje je w dalszym ciągu intencjonalne odnoszenie się do przedmiotów, których dotyczą, charakter teleologiczny, związki genetyczne wchodzących w ich skład przeżyć, zależność od podstawowych dążności ludzkich, od sytuacji psychicznej i od konstelacji pozapsychicznej. Sytuacja, w której występują pewne przeżycia, wyznaczona jest nietylko przez przedmiot, do którego odnoszą się te przeżycia i przez podstawowe dążności, kierujące życiem psychicznem człowieka, ale również przez oddźwięki, pozostałości właśnie minionych przeżyć, przynależnych do odmiennej całości wyższego rzędu, przemijające nastawienia, np. nastroje danej godziny, czy danego dnia. I tak np. reakcja widza kinowego na film jest warunkowana nietylko podnietami, których dostarcza ekran i towarzysząca akcji muzyka, lecz w pewnej mierze również przeżyciami widza w ciągu dnia. W skład „konstelacji pozapsychicznej“ zaś wchodzą czynniki geograficzne, historyczne, biologiczne, ale głównie socjalne. Wszak przebieg przeżyć kształtuje się odmiennie, zależnie od tego, czy człowiek jest w danej chwili samotny, czy też w otoczeniu innych ludzi, a w drugim wypadku zależnie od ilości tych ludzi i ich stosunku do niego. Całościom przeżyciowym wyższego rzędu towarzyszy nadto poczucie ich mniejszej lub większej ważności dla życia przeżywającej je jednostki ludzkiej. Odznaczają się dalej wyraźnem zabarwieniem, zależnem od rodzaju przeżyć, które w nich dominują. Niekiedy bowiem uczucia i akty woli stoją jakgdyby w służbie przeżyć intelektualnych, innym razem intelektualne przeżycia w służbie uczuciowych. Wreszcie za prof. Ingardenem podkreślić należy związek tych całości przeżyciowych z osobą, którą pojmujemy jako psychofizyczne indywiduum, wyposażone w liczne strukturalnie powiązane dyspozycje i skłonności do przeżyć i zachowań się.

Opisane właśnie całości przeżyciowe są właściwą domeną psychologji humanistycznej, o ile odnoszą się do rzeczywistości humanistycznej i jej składników. Rzeczywistość badana przez nauki humanistyczne, czyli rzeczywistość humanistyczna, jest identyczna z rzeczywistością przyrodniczą. Rzeczywistością humanistyczną jest cały świat rzeczywisty, rozpatrywany jednak z szczególnego, antropocentrycznego punktu widzenia. Ten antropocentryczny punkt widzenia polega na tem, iż świat interesuje nauki humanistyczne tylko o tyle, o ile jest człowiekiem, jego tworem, tworzywem, w którem tworzy, albo mniej lub więcej bezpośrednią przyczyną jego dziejów. Ten szczególny punkt widzenia nadaje nadto pewnym składnikom świata rzeczywistego uprzywilejowane stanowisko w naukach humanistycznych, polegające na tem, iż interesują one te nauki ze względu na siebie same, a nie tylko ze względu na swój związek z czemś innem, będącem w centrum badań. Takiemi składnikami są przedewszystkiem jednostki ludzkie i ich zespoły. Wokoło zaś człowieka i zespołów ludzi jako punktu centralnego rzeczywistości humanistycznej skupiają się ich wytwory najrozmaitszego rodzaju i zespoły tych wytworów.

Jednostka ludzka żyje w świecie humanistycznym i ustosunkowuje się do jego składników. Na tle tego ustosunkowania pojawiają się w życiu psychicznem całości przeżyciowe wyższego rzędu, a więc przeżycia, będące przyczyną powstania wytworów, związane z postawą odbiorczą względem nich, będące podstawą trwałych i nietrwałych stosunków społecznych, i inne. One to są właściwym przedmiotem badań psychologji humanistycznej.

Natomiast niehumanistyczną psychologję uprawiamy, badając przeżycia w odniesieniu do elementów świata otaczającego, nie ujętych jako składniki świata humanistycznego, lecz ze względu na ich fizykalne, chemiczne, ilościowe stosunki lub wogóle w abstrakcji od ich korelatów przedmiotowych, występujących w tych badaniach zupełnie anonimowo. Do psychologji humanistycznej nie należą więc badania w rodzaju Wundta, dotyczące wrażeń zmysłowych, lub Brentanowska nauka o przedstawieniach, należą natomiast badania psychologiczne, poświęcone twórczości naukowej czy artystycznej zabawie, karności, patrjotyzmowi, czytelnictwu, widzowi kinowemu i t. p. Psychologja humanistyczna nie stawia sobie za zadanie zbadanie zależności przeżyć psychicznych od podniet świata fizykalnego, ani prawidłowych związków przeżyć elementarnych, występujących u wszelkich ludzi bez względu na ich właściwości charakterologiczne i środowisko, w którem żyją. Natomiast badania przeżyć psychicznych, w ich stosunku do właściwości fizjologicznych człowieka, należą do psychologji humanistycznej, o ile wykrycie związków pomiędzy życiem psychicznem a konstytucją cielesną rzuca — jak np. badania Kretschmera lub Sigauda — pewne światło na całości przeżyciowe wyższego rzędu. Odmienne stanowisko Sprangera nie wydaje mi się słuszne. Wszak wedle tych badań, budowa ciała wpływa na twórcze i odbiorcze zamiłowania, na usposobienie i sposób odnoszenia się do ludzi, a więc na dyspozycje do całości przeżyciowych, badanych przez psychologję humanistyczną. Wspólny przedmiot badania — życie psychiczne człowieka — nadaje psychologji niehumanistycznej i humanistycznej jedność, mimo rozmaitości punktów widzenia, z których przeżycia psychiczne rozpatrują — jedna w ich związku z światem podniet fizykalnych, druga w ich związku z uprzywilejowanemi składnikami rzeczywistości humanistycznej. Badania tych kierunków psychologji uzupełniają się, a nawet warunkują wzajemnie.

W obrębie psychologji humanistycznej odróżnić można trzy działy, mianowicie ogólną, różniczkową i rozwojową. Nie wchodzi zaś w jej zakres badanie swoistego sposobu przejawiania się całości przeżyciowych u konkretnej osoby historycznej na tle jej osobowości. Psychologja humanistyczna nie bada faktycznie wszystkich całości przeżyciowych, odnoszących się do składników rzeczywistości humanistycznej, ale szczególnie interesujące ze względu na te lub inne nauki humanistyczne, dla których stanowi naukę pomocniczą.

Na marginesie pewna uwaga. Prof. J. Kleiner zwrócił mi słusznie uwagę na to, iż przez badanie całości przeżyciowych o fazach niełącznych, psychologja zbliża się do literackiego znawstwa duszy ludzkiej, które oddawna operuje opisami takich całości. W świetle tego faktu okazuje się — wedle prof. Kleinera — iż wbrew rozpowszechnionym mniemaniom, nauka tworzyła preparat rzeczywistości, a sztuka była bardziej zbliżona do prawdy. Sądzę jednak, że różnica pomiędzy psychologiem humanistycznym a poetą, znawcą ludzi jest mimo to znaczna. Znawca ludzi posiada dar intuicyjnego rozumienia ludzi, z którymi obcuje bezpośrednio lub pośrednio przy pomocy ich dzieł lub dzieł o nich napisanych. O ile jest poetą, posiada nadto dar subtelnego wyrażania w swych utworach przeżytych i wyimaginowanych przeżyć psychicznych oraz zdolność poetyckiego kształtowania postaci powieściowych czy dramatycznych, posiadających wyraźny profil psychologiczny i bogate życie psychiczne. Psychologiem natomiast nazwać można tylko człowieka, formułującego pewne *ogólne* prawdy, dotyczące psychiki ludzkiej, czy też pewnych typów ludzi i to w oparciu o bezustannie kontrolowane naukowo metody badawcze.

Wśród przedstawicieli psychologji humanistycznej rozpowszechnione jest stanowisko, że psychologję humanistyczną charakteryzuje pewna metoda, mianowicie t. zw. rozumienie. Stanowisko to nie jest słuszne. Psychologja humanistyczna może i powinna posługiwać się wszelkiemi metodami, które mogą przyczynić się do poznania przedmiotów przez nią badanych, a więc głównie opisem intro- i retrospektywnym, analizą psychologiczną, rozumieniem siebie, innych ludzi, wytworów, interpretacją wytworów, ale również eksperymentem, obserwacją zachowania się, ankietą, metodami statystycznemi i t. d. M. i. znaczną rolę odgrywają prawdopodobne uogólnienia, dotyczące tego, jakie przeżycia resp. dyspozycje psychiczne mogą obok siebie współistnieć, a jakie nie.

Powyższe ujęcie zadań psychologji humanistycznej opiera się w niektórych punktach na klasycznych jej przedstawicielach, Diltheyu i Sprangerze, odbiegając w wielu innych, a to w tendencji unikania pewnych metafizycznych założeń, jak np. przyjęcia stosunków przyczynowych między przedmiotami realnemi a idealnemi, odróżnienia duszy i ducha, koncepcji ponadindywidualnych podmiotów, teorji ducha objektywnego, oraz takich niejasnych i wieloznacznych pojęć, jak sens lub wartość, nieprzygotowanych jeszcze należycie do naukowego użytku. Wydaje się, iż zadania psychologji humanistycznej można określić bez odwoływania się do tych założeń i terminów.[1]

LEOPOLD BLAUSTEIN

[1] Nawiązując do mej rozprawy p. t. „O zadaniach psychologji humanistycznej“, ogłoszonej w *Przeglądzie Filozoficznym* (1935), proponuje dr. A. Wiegner w swym artykule p. t. „Jakiej psychologji potrzebuje humanista?“ (*Pion*, nr. 8/125) uzupełnienie moich wywodów przez podkreślenie p r a k t y c z n e g o charakteru tej dziedziny psychologji. Stanowisko to wydaje mi się słuszne.

O POZIOM NIENAWIŚCI

REPORTAŻ MELANCHOLIJNY

Lubię walki o idee. Nie wierzę ludziom, występującym pod hasłem „świętej zgody“, nieścierania się prądów, tak zwanej „konstruktywnej“ pracy; są to żołnierze z okopów marazmu, którzy nie rozumieją praw życia i dynamiki rozwijających się idej. Szanuję świętą przesadę, która tkwi na dnie każdej propagandy prowadzonej *con amore*, przesadę, którą dyszy każda akcja człowieka wyznającego szczerze swój ideał i pragnącego wcielić ją w życie.

Ale zawsze chodzi o to, aby to była walka o coś nowego, ważnego, o coś co jest lepsze od otoczenia, walka o wyższą i trudniejszą rację. Przyszło mi to wszystko na myśl, kiedy znalazłem się za własne 50 groszy na *publicznej* dyskusji urządzonej przez Blok Artystyczny pod przewodnictwem profesora Pruszkowskiego. Zaczęło się spokojnie i niewinnie od poprawnego odczytu p. Lauterbacha, odczytu, którego niestety nie wysłuchałem w całości. Ale też odrazu dostał mi się tłusty kawałek. Odczyt sam przez się nie mówił jeszcze nic o fizjognomji ideowej stowarzyszenia, dopiero w dyskusji wyszły na arenę wszystkie *cheveaux de bataille*, które zaczęły swoje cyrkowe popisy. Wtedy dopiero zrozumiałem, gdzie jestem, w jaką dostałem się orbitę wpływów.

Było to właśnie podczas wystawy Związku Artystów w Ipsie, ogniskującego plastyków o nastawieniu eksperymentatorskiem, bliskich prądom sztuki zachodnio-europejskiej, ożywionych ambicjami twórczemi, nie poprzestających na zdawkowem efekciarstwie. Właśnie o tej wystawie mówiono najwięcej. Mówiono nie w gronie specjalistów, ale *publicznie*, dla laików. Jestem takim laikiem, jestem jednym z tych, dla których odczyt był urządzony. To właśnie upoważnia mnie do zabrania głosu.

Zgruba biorąc, walka między dwoma odłamami naszych artystów jest walką pomiędzy sztuką z tematem, a sztuką „czystą“. Jako nie malarz mam zupełnie naturalną skłonność do tematyzmu. Obraz czy rzeźba jest dla mnie całością, która coś mówi, która coś przedstawia i lubię widzieć w niej związek ze światem moich własnych zainteresowań. A więc z natury jestem niejako dysponowany na sojusznika grupy prof. Pruszkowskiego. Bo tam właśnie walczy się o prymat tematu przeciwko abstrakcjonizmowi.

Jednakże argumenty (?), których wysłuchałem, tonące w powodzi dowcipów z pod ciemnej gwiazdy, przy akompanjamencie uroczego rechotania rzeszy malarskiej i ku oburzeniu publiczności neutralnej, były w stanie z najbardziej zagorzałego zwolennika tematyzmu uczynić fanatyka sztuki abstrakcyjnej. Nie usłyszałem ani jednego rozsądnego zdania, ani jednej rzeczowej analizy. Wszystko obracało się dokoła mało inteligentnych przycinków, nad wszystkiem panowała atmosfera jakiegoś otyłego zadowolenia z siebie. Chwilami miałem wrażenie, że cała ta dyskusja odbywała się na niewłaściwym terenie. Widzę ją raczej w salce jakiejś instytucji gastronomicznej, naprzykład *Baru pod Setką*. Duży stół, papierowe serwety, peklówka z grochem i głos któregoś z dyskutantów: „Panie starszy, dla Mistrza jedna większa zakrapiana na dzisiejszą pogodę“. Tam czuliby się dobrze, tam taka ludożercza dyskusyjka byłaby tłem, poziomem i zapachem najzupełniej dostosowana do *entourage'u*.

Ale myśmy mieli prawo oczekiwać czego innego. Blok jest poważną instytucją artystyczną, która urządza publiczne odczyty i od której my laicy mamy prawo oczekiwać, że czegoś się nauczymy, że nas bodaj rzetelnie poinformują.

Walny „argument“ z którego się fachowcy na sali ogromnie cieszyli polegał na tak zwanym *dowcipie z golenią*. Chodziło o to, że jeden eksponat abstrakcjonistów kształtem przypomina goleń. Było z tego wiele uciechy, dowcip tak się podobał, że ludzie (plastycy) tarzali się ze śmiechu. W tych figielkach usiłowano utopić przeciwników, a zarazem wpakować szpilkę Ministerstwu W. R. i O. P. za to, że otoczyło opieką wystawę Związku.

Nie entuzjazmuję się poczynaniami abstrakcjonistów. Nie wierzę, aby sztuka tak dalece oderwana od rzeczywistości zmysłowej mogła mieć wielką przyszłość przed sobą; nie wierzę, aby wydała artystów, którzy odegrają w kulturze ludzkości tę rolę, którą odegrali klasycy malarstwa i rzeźby światowej, aby ta sztuka kiedykolwiek związała się z życiem narodów tak silnemi wewnętrznemi węzłami, jakiemi zrosły się ze świadomością naszą arcydzieła mistrzów rzeźby i malarstwa.

A jednak — zachęcony nieprzytomnem psioczeniem na przeciwników — wziąłem do ręki książkę Kobro i Strzemińskiego pod tytułem *Kompozycja przestrzeni* i muszę powiedzieć jako świadek-laik, że książka ta jako gatunek myślenia, jako poziom, jako wyraz ambicji twórczej, stoi na szczeblu, którego rechotliwi panowie z Bloku, mam wrażenie, wogóle nie dostrzegają. Dla mnie, jako nie-malarza, te usiłowania abstrakcjonistów nie są bynajmniej jałowe. Coś z tych wysiłków zostanie. Nie trzeba ich brać zbyt „dosłownie“, raczej ze względu na wpływy, które mogą wywrzeć na ogólny rozwój malarstwa. Tak samo jak inne prądy, np. kubizm i futuryzm, nie ostały się w swojej postaci pierwotnej, nie mniej odkryły cały szereg możliwości, które w ten czy inny sposób weszły w życie sztuki. Pod tym kątem na nie zawsze patrzyłem.

Panowie z Bloku rozumują trzeźwo, ale to jest trochę trzeźwość z feljetonów Wiecha. Znowu jeden z symptomatów strasznej *gry na zniżkę*. Wydaje im się, że nas laików można wziąć tylko płycizną i że każdy kiepski dowcip na temat może przesadnych w swoim fanatyźmie wysiłków twórczych ambitnych kolegów będzie powitany radośnie jako wyraz zdrowia i „tężyzny twórczej“. Otóż nie!

Wierzę, że ostatecznie sztuka z tematem, sztuka, która nie zamyka się w zagadnieniach ściśle fachowych, ale związana jest z nurtem zagadnień życia, że ta sztuka tylko ma zapewnioną przyszłość. Ale równocześnie wierzę, że najrozmaitsze sekciarskie eksperymenty, które w swojej przesadzie i wyolbrzymieniu fanatyków sprawiać mogą wrażenie dziwactwa, w ostatecznym rozrachunku przysługują się tej wielkiej sztuce. I przysługują jej się w wyższym stopniu niż łatwizna tematyczna naszych „tęgich“ efekciarzy.

Tematyzm. Owszem. Ale chodzi o to, aby ten tematyzm był naprawdę mocny. To sprawa zasadnicza. Jeśli w sztuce temat ma odgrywać wielką rolę, to musi mieć temperaturę marzenia, musi być wyrazem wielkiej wstrząsającej wizji. Bez tego jest zwykłą tandetą artystyczną. Kiedy niedawno rozmawiałem z Szukalskim, wyciągnął z kieszeni nowy projekt stylizowanego godła państwowego; był to orzeł polski ujęty w kształt halabardy. Temu człowiekowi pali się w głowie. Wszystkie jego prace, bez względu na ataki, z któremi się spotykają ze strony przeciwników, są dla mnie nieskończenie cenne dlatego właśnie, że mają wielkie ognisko ideowe. Zachwycam się rzeźbami Francuza Despiau, ale nie przeszkadza mi to ani trochę wyczuwać nurt twórczy wielkich kompozycyj Szukalskiego. Bo jego sztuka ma wizję centralną, bo wyrasta z pewnej historjografji, bo chce przekształcić życie polskie w myśl pewnych, głęboko odczutych postulatów, sięgających aż do podłoża biologicznego naszego narodu.

Na taki tematyzm zgoda! I taka sztuka wcześniej, czy później, wessie w siebie eksperymenty fanatyków abstrakcjonizmu, ale nigdy nie sprzymierzy się (chyba dorywczo, konjunkturalnie) z łatwiznami tematycznemi blokowców. Weźmy naprzykład ostatnią ich wystawę w *Ipsie* i — dla porównania recenzję profesora Pruszkowskiego z tej wystawy, umieszczoną w *Gazecie Polskiej*. Prof. Pruszkowski zilustrował recenzję odbitkami z dwóch portretów: Marszałka Piłsudskiego i gen. Rydza-Śmigłego. Widocznie uważał je za *cymesy*. Otóż jako laik-tematowiec, muszę powiedzieć, że oba są banalne, nudne, obstalunkowe, że niema w nich nic porywającego, żadnej świeżej obserwacji, żadnego nowego, żywego ustosunkowania się do odtwarzanych postaci. — Za taką tematowość dziękujemy!

I jeszcze jedna uwaga z zakresu powiedziałbym taktu społecznego. O wystawie w *Ipsie*, która stała się przedmiotem publicznej napaści blokowców, napisał ich wódz prof. Pruszkowski recenzję nie entuzjastyczną wprawdzie, ale w swym krytycyzmie ogłędną. Bo i trudno było postąpić inaczej. Czemuż więc w dyskusji publicznej jego uczniowie i zwolennicy nie trzymali się tego minimum lojalności artystycznej, którą wskazał im mistrz? Druga sprawa, to przycinki pod adresem Ministerstwa Oświecenia za to, że udzieliło gościny eksponatom abstrakcjonistów. Otóż eksponaty te były oddzielone od innych obrazów i rzeźb; zilustrowano w ten sposób zupełnie trafnie ich właściwe miejsce we współczesnej sztuce Polski. Przyznanie im prawa uczestnictwa w wystawie świadczy jaknajlepiej o wyczuciu potrzeb sztuki, której, wbrew nadziejom blokowców, nawet „szerokie masy“ nie chcą sprowadzać na poziom „milusiński“. Ma się o nas zbyt niskie pojęcie i zbyt pochopnie apeluje się do naszego lenistwa i złego gustu.

Zabrałem głos w sprawie, wychodzącej poza zakres moich zwykłych zajęć. Jak już zaznaczyłem, zabrałem głos jako słuchacz, jako ktoś z publiczności, który był na odczycie *publicznym* i który wyraża nietylko swoje uczucia, ale i wrażenia wielu osób zebranych, dające się streścić w tem zdaniu: Walki między prądami artystycznemi są nietylko konieczne, ale bywają nawet doskonałą zaprawą twórczą. Walki, ale nie lichutkie przekomarzania. Publiczność nie chce, aby ją karmiono takiemi widowiskami.

J. E. SKIWSKI

Z LITERATURY O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM



S. NORBLIN 1935

WYBÓR PISM MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO PO FRANCUSKU.

JOSEPH PILSUDSKI: *Du révolutionnaire au chef d'état (1893 — 1935). Pages choisies des dix volumes des „Oeuvres, discours, ordres“*. Edgar Malfère, Paris 1935.

Ukazał się obecnie w Paryżu, nakładem „Société Française d'Editions Littéraires et Techniques“, gruby tom wyboru pism Józefa Piłsudskiego p. t. „Od rewolucjonisty do naczelnika państwa“ *(Du révolutionnaire au chef d'état).* Jak nas informuje podtytuł książki są to „stronice wybrane“ z dziesięciu dotychczas wydanych w Polsce „Pism, mów i rozkazów“ Marszałka Piłsudskiego, opublikowanych bądź wygłoszonych między rokiem 1893 a 1935. Tłumaczenia tych *pages choisies* dokonał znany poeta legjonowy, major Józef Andrzej Teslar, przy pomocy francuskiego pułkownika Karola Jèze, znanego również chlubnie ze stałej entuzjastycznej współpracy około tłumaczeń i propagandy we Francji dzieł Marszałka.

Przed omówieniem bardziej szczegółowem tego tomu i przedmowy, w jaką go zaopatrzył J. A. Teslar, należałoby może wspomnieć także o poprzednich wydaniach z literatury polskiej J. A. Teslara. Wszystkich bowiem tych tłumaczeń dokonał ten sam tłumacz, sam wynajdując odpowiedniego wydawcę, sam starając się o rozsprzedaż nakładu, gdyż zarówno tłumaczenia jak i wydawnictwo zrealizowane były całkiem prywatnym sumptem, bez żadnej subwencji lub pomocy zzewnątrz.

Z inicjatywy J. A. Teslara powstała w Paryżu t. zw. „Kolekcja Polska“ *(Collection Polonaise),* w której pod kierownictwem samegoż inicjatora poczęły się ukazywać, począwszy od roku 1929, następujące dzieła: Józefa Piłsudskiego: „Rok 1920“ — *L'année 1920* (rok wydania 1929), „Moje pierwsze boje“ — *Mes premiers combats* (1931) i „Bibuła“ — *Biboula. Souvenirs d'un révolutionnaire* (1933). Te trzy wymienione publikacje i ukazująca się obecnie czwarta, wydawane w różnych odstępach czasu (co dwa lata), stanowią jedyny i całkowity dorobek tłumaczeń pism Piłsudskiego na francuski. Widzimy, że to jest mało jak na wagę pism jednego z największych mężów stanu w Europie, ale znów bardzo dużo jak na siły jednego tłumacza i jakgdyby wydawcy jednocześnie, absolutnie osamotnionego, jeśli chodzi o tę drugą rolę, i który pozatem przecież zajmował się przekładami i wydawaniem innych także dzieł z literatury polskiej, niesłychanie ważnych choćby ze względów propagandowych, zawsze niedość przecież zadowalających, jeśli chodzi o imię i *prestige* Polski we Francji. A więc poza temi przekładami z dzieł Piłsudskiego, które same jedne byłyby już dostatecznym tytułem do trwałej zasługi tłumacza, wydał on we własnym przekładzie z pomocą p. J. de France de Tersant, następujące dzieła (każde oczywiście z wprowadzającą dla czytelnika francuskiego przedmową tłumacza): Henryka Sienkiewicza — *Les chevaliers Teutoniques* (Krzyżacy), *En esclavage chez les Tartares* (W niewoli tatarskiej) i *Une aventure à Sidon* (Co się raz stało w Sydonie i inne nowele); Wacława Sieroszewskiego — *L'Évasion* (Ucieczka) i *Amour du Samouraï* (Miłość Samuraja — w tłumaczeniu A. Morzkowskiej); Michała Choromańskiego — *Médicine et jalousie* (Zazdrość i medycyna); gdy dodamy do tego jeszcze gruby, o blisko 600 stronach, wydany w tejże kolekcji tom listów Chopina *(Lettres de Chopin)* w tłumaczeniu p. S. Danysza, będziemy mieli mniej więcej pojęcie o ambicjach i pracowitości tej *Collection Polonaise* w Paryżu. Stanowi ona jakby drugą nieoficjalną placówkę propagandy polskiej we Francji. Przypuszczam, że konkurencja między niemi może tylko wyjść na dobre sprawie, której służą. Wystarczy nadmienić, że powieść *Krzyżacy* w przekładzie Teslara została odznaczona w roku zeszłym przez Akademję Francuską, wystarczy zauważyć, jacy krytycy piszą z uznaniem o tych przekładach, aby zdać sobie sprawę z ich wagi właśnie propagandowej i — z pracy w nie włożonej. René Lalou pisze w *Nouvelles Littéraires* o przekładach Teslara z pism Piłsudskiego: *Leur traduction rend pleinement justice à ces qualités de pittoresque et de verve qu'ils louent dans le texte original.* W podobnym tonie pisze o przekładach z Sienkiewicza André Thérive w *Le Temps*, Fortunant Strowski w *Le Quotidien* i wielu innych.

Ostatnią publikację *Collection Polonaise*, wybór pism Piłsudskiego, opracował Teslar z ten sposób, że 57 urywków z pism Marszałka ułożył w porządku chronologicznym, dzieląc je na pięć części, stosownie do pięciu głównych etapów życia i czynów Marszałka. I tak część pierwsza, zatytułowana *Le Révolutionnaire, le soldat* (rewolucjonista i żołnierz), zawiera 12 fragmentów, napisanych między rokiem 1893 a 1914 i ilustrujących najlepiej, bo autorytatywnie słowami samego Marszałka, ten właśnie okres Jego działalności: mamy tutaj między innemi fragment słynnego artykułu: „Jak zostałem socjalistą?“ i „Przygotowania polskie do wystąpienia zbrojnego“. Część druga (Komendant Pierwszej Brygady i Członek Tymczasowej Rady Stanu) zawiera okres między 1914 a 1917 rokiem. Część trzecia (Naczelnik Państwa i Generalissimus) zawiera okres między 1918 a 1923 rokiem: mamy tutaj ów wzruszający „Pierwszy rozkaz do Armji Polskiej“ z 12 listopada 1918 roku i takież przemówienie na pierwszym zjeździe legjonistów w Krakowie w roku 1922. Część czwarta (W odosobnieniu) zawiera prace Marszałka z okresu izolacji w Sulejówku między rokiem 1923 a 1926: znajdujemy tutaj fragmenty artykułów: O psychologji więźnia, O wartości żołnierza Legjonów, Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej, Powodzenie w czasie wojny, Istota dowodzenia i Wspomnienie o Gabrjelu Narutowiczu. Część piąta (Zamach stanu roku 1926 i jego konsekwencje) zawiera pisma z okresu lat 1926 — 1935: znajdujemy tutaj przeważnie wywiady z Marszałkiem na rozmaite aktualne zagadnienia państwowe i ustrojowe, przeprowadzone głównie przez B. Miedzińskiego i T. Święcickiego.

Jak widzimy, układ materjału opracowany jest przejrzyście, z myślą, ażeby dać możliwie dokładny obraz dziejów Polski od jej odrodzenia do dziś, a następnie, żeby związek między zasadniczemi zdarzeniami historycznemi w Polsce a życiem i czynami Marszałka Piłsudskiego był jasny i sam przez się zrozumiały. Dopomagać ma do tego i nazwanie każdej części książki osobnym syntetyzującym tytułem, i przedmowa wstępna oraz obszerne i wyczerpujące przypisy tłumacza, przypisy, które poza sumiennością opracowania informacyjnego są poprostu źródłowemi komentarzami człowieka, który przecież w tych wszystkich sprawach i potrzebach zbiorowych, o których w tekście mówi Marszałek, brał udział, jako ich uczestnik, jako legjonista o wrażliwem i czułem sercu poety.

Nie należy bowiem zapominać, że tę antologję pism Piłsudskiego, mogącą służyć jako wzór dla przyszłych polskich antologij, opracowywał w jednej osobie żołnierz i poeta, odczuwający w całej pełni, jak nikt może, poza wartością historyczną i moralną, także poetyczny czar porywu legjonowego i bohaterskiej postaci jego inicjatora. Dlatego kiedy we wstępie mówi Teslar o Marszałku Piłsudskim, że „szabla, pióro i słowo mówione były u Niego niczem więcej jak tylko bronią w walce o jeden zawsze i ten sam cel: wielkość narodu“, to czujemy doskonale, że jest to również prawda i jego samego, jako żołnierza legjonów i jako pisarza. Tłumacząc czytelnikowi francuskiemu, że postać Marszałka, to nietylko wielki wojownik, ale i społecznik, polityk, prawodawca i wychowawca, dowodzi tem samem, że legjony, to nietylko poryw zbrojny narodu, ale przedewszystkiem moralny, to wyraz jego odrodzenia nietylko z ciała — formy państwowej, ale przedewszystkiem z ducha — idei kulturo- i dziejotwórczej.

Ten pietyzm tłumacza dla pracy, której się z takiem powodzeniem podjął, wyraża się także w najdalej posuniętej skrupulatności, zarówno w notach informacyjnych jak i w dbałości o wierność i piękno przekładu; a domyślamy się chyba jak trudnym do tłumaczenia na francuski musiał być niezwykle żywy, szeroki w skali swoich form, nawskroś odrębny, powiedziećby można, swoisty styl pisarstwa i publicystyki Piłsudskiego. Przytoczona poniżej próbka przekładu jednego zdania z „Pierwszego rozkazu do wojska polskiego“, niech przemówi sama za siebie w sensie oceny wartości literackiej przekładu, a więc i całej książki: *Soldats! La nation toute entière se trouve aujourd'hui en présence de problèmes qu'elle n'arrivera à résoudre qu'au prix d'efforts extraordinaires et en y mettant toute sa force et toute sa volonté.*

Takie słowa dziś, to już nie „rozkaz do wojska“, to testament dla Polaków. Dobrze, że o nim dowiedzą się Francuzi.

MARJAN PIECHAL

*

„STRZĘPY MELDUNKÓW“

Generał FELICJAN SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI. *Strzępy meldunków.* Warszawa 1936.

Skromny jest, żołnierski, pełny prostoty i rzetelności tytuł książki. Szara, aż nazbyt szara, karta tytułowa i autorskie facsimile. Tylko tarcza z inicjałami „JP“ odbija swą białością i przyciąga uwagę.

Ta okładka książki, choć niezbyt piękna graficznie, jest doskonałym symbolem



W Egipcie

i wierną zapowiedzią jej treści. Oddany żołnierz mówi w tej książce o uwielbianym swym Wodzu; w posłusznej postawie, z dumą żołnierską, która, nie uchybiając sobie, potrafi przeistaczać się w pokorę, znowu staje autor do meldunku przed Duchem swego Wodza, jak stawał tylekroć przed jego osobą. Znowu całem sercem myśli o swym Komendancie i znowu w niepozorną szarość się usuwa, by tem bardziej zajaśniała umiłowana postać.

A przecież mimo szczerej i widocznej intencji autora, ta książka mówi nie o jednym człowieku. Mówi nietylko o wielkości Wodza, lecz i o miłości żołnierza: o tej więzi nieporównalnej, która w twardy rygor dyscypliny wojskowej wprowadza czułość synowską i z żołnierza o stężałej w czynie woli robi dziecko, wobec ojca bezopornie uległe.

Widoczna jest, że nie myślał autor o artystycznej formie swego dzieła. Nie zostało ono napisane jako jednolita całość, lecz powstało, jak wiernie tłumaczy to tytuł, z wyboru notat, robionych w czasie meldunków u Marszałka, lub bezpośrednio po nich. Jest to więc jak gdyby album fotograficzne, które bez żadnych autorskich transpozycyj ma chwytać i utrwalać, bezpośredniość chwili. Informuje nas autor, że czasem, gdy Marszałek mówił wolno, notaty były niemal dosłownem powtórzeniem słów Jego. Naogół zaś ujęte są w najprostszej, najbardziej niewyszukanej formie, jak gdyby protokóły posiedzeń, ze starannem podaniem miejsca, godziny i osób obecnych.

Niemniej te *Strzępy* są jednolitem i artystycznem dziełem. Nadają im ten charakter dwie rzeczy, o których już była mowa przed chwilą: wielkość człowieka, któremu poświęcona jest książka, i uczuciowa postawa autora, która przepaja i przenika każdy skrót i chwyt, fotograficzny tylko napozór.

Wyraźnemi linjami zarysowuje się w tych „pro“ oddanie autora dla Wodza. Żołnierz, ale zarazem i lekarz, autor nietylko melduje się posłusznie swemu umiłowanemu rozkazodawcy, lecz jednocześnie wprawnem okiem ocenia jego wygląd, samopoczucie i stan zdrowia.

Niema „meldunku“, w którymby nie było tego biuletynu lekarskiego; czasem powraca do niego autor dwukrotnie, otwierając i zamykając nim notaty. I nawet wówczas, gdy wychodzi zburczany z posłuchania, myśli często nie o sobie, lecz o tem, czy gniew nie zaszkodził Marszałkowi. Związany jednak rygorami dyscypliny, z rzadka tylko, niemal wyjątkowo kiedyś, ma możność co najwyżej „życzyć posłusznie zdrowia panu Marszałkowi“.

Rygory wojskowe trzymają autora w pewnem oddaleniu od Marszałka; ale i on sam nie narusza tego dystansu, nawet tam, gdzie mógłby się zbliżyć do Marszałka, jak inni. Powiada o sobie wyraźnie, już wówczas minister i generał, że jest nieśmiały i zażenowany w towarzystwie swego Wodza i że z umysłu trzyma się odeń zdaleka, gdy się znajdą w większem gronie ludzi. Ileż ujmującej prostoty jest w tem ujawnieniu; ile jednocześnie powściągu, jeśli się zważy, że tylekroć mówi autor o tem, jak wiele radości i pokrzepienia daje mu każde widzenie i każda rozmowa z Komendantem. Łamią się te zapory powściągu dopiero w chwili, gdy pociąg z trumną Marszałka rusza z Warszawy. Powiada sobie autor wtedy: „Już Ci nie zamelduję: Panie Marszałku, gdy myśli krzyczą: Obywatelu Komendancie“. Tak, z każdej karty meldunków widać jasno, że myśli autora w tej prostej, „leguńskiej“ formie zwracały się do Wodza. Wódz pozostał na całe życie jedynym rzeczywistym mocodawcą dla autora. Nawet jako minister czuje się autor wykonawcą posłusznym i odważnym woli Marszałka. I pozostawia decyzję co do swych losów w rękach Jego nawet tam, gdzie ma dany swobodny wybór. Ale to nie jest niewolniczość: to najwyższy sposób poddania swej woli pod autorytet uznanej przez siebie wielkości, — największy triumf miłości i nakazu moralnego.

To też surowa piękność tego dzieła kulminuje w ostatnich jego kartach, gdzie w chwili śmierci i pogrzebu Marszałka dochodzi do głosu uczucie autora. Niezapomniana jest powaga tych prostych słów: „I nigdy już, żadna niedziela naszego życia nie będzie tak wesoła i beztroska, jak za Jego pobytu na ziemi... Wtedy zostanie nam już tylko — życie bez Niego“.

To też z niezachwianą ufnością przyjmuje czytelnik relacje autora. Relacje niezmiernie interesujące: dotyczą wszak Tego, który ukształtował całą rzeczywistość polską i który zostawił w niej swój ślad nieśmiertelny i niezniszczalny. Pochłaniamy też książkę tę z podwójnem uczuciem: z pietyzmem dla wspomnień o Marszałku i z dociekliwością badawczą historycznego szczegółu, który może rzucić żywe światło na dokonane, a jeszcze dla widza niezrozumiałe wydarzenia dziejowe.

Zapewne nieprędko jeszcze zarysuje się wiernie i plastycznie w przedstawieniu historycznem cała pełnia indywidualności Marszałka. Objektywna kronika zdarzeń oraz pisma samego Marszałka są tu niewątpliwie pierwszem i najważniejszem źródłem i podstawą konstrukcji. Ale świadectwo tych, którzy z Marszałkiem stykali się bezpośrednio, jest nieodzownem dopełnieniem: w niem bowiem dopiero znajdzie wyjaśnienie niejeden fakt, niejedna psychologiczna zagadka, której rozwiązanie jest sprawą nie prostej ciekawości, lecz punktem wyjścia



Na wystawie legjonowej w Krakowie w r. 1916 (obok Komendanta prof. J. Mycielski)

nawet dla przewidywań, dotyczących przyszłości. I spisywanie wspomnień, tak niesłychanie bogatych w treść, jak *Meldunki*, jest chyba kategorycznym obowiązkiem tych, którym było dane stykać się bezpośrednio z Marszałkiem.

Strzępy są źródłem niesłychanie ważnem dla historyka, dla męża stanu, dla teoretyka techniki społecznej. Odkrywają nam rzeczywisty bieg zdarzeń, znany z bałamutnej plotki; ujawniają pogląd i ocenę Marszałka, co się tyczy ważnych spraw techniki państwowej; odsłaniają rzeczywiste pobudki decyzyj i czynów Jego.

Niewieloma tylko meldunkami szkicuje autor dzieje swoich spotkań z Marszałkiem przed majem. Pierwszy meldunek w Belwederze jesienią 1918 roku. Nawał spraw, przetłoczona poczekalnia wywierają na władcę ledwie co założonego państwa nacisk nieubłagany i oddalają go od dawnych towarzyszów pracy i walki już przez to samo, że mu na małe chwile dozują czas. Stanął teraz Komendant na skrzyżowaniu niezliczonych dróg, które ku niemu ze wszystkich stron prowadzą i mocą konieczności zaczął się tworzyć między Nim a Jego ludźmi ten dystans, pełen patosu, który jest częścią składową majestatu władzy, jej wyniesienia ponad innych, lecz i samotnego od nich jednocześnie oddalenia.

Ten patos dystansu silnie podkreślają *Meldunki*. Czujemy go nietylko tam, gdzie Marszałek w pełni swego majestatu zjawia się w chwilach wyjątkowo doniosłych lub gdy z mocą niemal kosmicznego żywiołu sprawuje sąd nad oficerem, który przekroczył normy wojskowego rygoru. Śmiertelnie chory, potrafi rzucić jeszcze krótkie zawołanie: „adjutant", w którem dźwięczy to poczucie władczej odległości w stosunku do ludzi. Niemniej wyraźnie uwidacznia się ona wobec członków gabinetu, którzy formalnie są „kolegami" Marszałka, lecz rozumieją i czują całą tymczasowość udzielonej im mocy. I jest rys wyraźnej surowości w stosunku Marszałka do swych najbliższych współtowarzyszy. Na Jego cierpliwość mogą liczyć rzeczoznawcy, opinjodawcy, którzy wchodzą w kontakt chwilowo, w wąskim i objektywnie wydzielonym fragmencie spraw. Kto się z Nim styka blisko, na szerokiej płaszczyźnie całej swej działalności, ten musi być przygotowany na ostre wybuchy zniecierpliwienia, na zaskoczenie niespodziewaną decyzją, na twardy, a czasem nawet przekorny sprzeciw. Obfite przykłady w *Meldunkach* ilustrują to bardzo wyraźnie i niewątpliwie. Pięciominutowy meldunek wydaje się kiedyś autorowi *Strzępów* długim szmatem czasu. Znamienny jest ten podwieczorek w Prezydjum Rady Ministrów, gdzie nietknięte pozostają stoły, bo Marszałek zapomniał o jedzeniu i przegawędził czas wyznaczony przy papierosie.

Nietylko czuje Marszałek patos władzy, lecz ma też surowe ujęcie państwa i jednej z jego istotnych funkcyj, wojny. Rozumienie państwa, z jakiem spotyka się w swej pracy władczej, napawa Marszałka wstrętem. Państwo nie może być tylko rozdawcą łask i korzyści, państwo musi żądać też ofiar moralnych. Stąd tak niechętnie i niecierpliwie odnosi się do wszelkiej koncepcji indywidualnych praw nabytych, i ma w nienawiści samo słowo „etat": nie może jego poczucie moralne, żądające wciąż ofiary i ofiarności, znieść tego oszańcowania interesów jednostkowych przeciw interesowi publicznemu. I stąd znaczna część Jego niechęci do stanu urzędniczego, który w Jego zrozumieniu prawami nabytemi chce bronić właśnie swej nieudolności, w mafjach umacniając wzajemnie i reasekurując swą pozycję. Piętnuje też z oburzeniem zasadę, praktykowaną w Polsce, którą tak formułuje: „gdy kto jest dureń, to pchnąć go wyżej, bo wtedy nie będzie przeszkadzał w pracy, dół będzie pracował". Pod niemniej bezlitosny pręgierz stawia protekcję i to przeniknięcie życia państwowego interesem personalnym, w którem widzi niebezpieczeństwo.

Ale poza tym majestatem i surowością ma Marszałek inne jeszcze, uśmiechnięte i pogodne oblicze dla swych współpracowników. Nie zawsze ich przyjmuje w mundurze i z odznaczeniami bojowemi; i nie zawsze mówi gniewnym tonem „panie generale", odbierając otuchę tytułowanym. Czasem w prostej kurtce legjonowej, lub zgoła w swetrze, z talją kart pasjansowych, śmieje się do nich dobrotliwie lub przekornie i wdaje w gawędę, albo z zadowoleniem pokazuje wspaniały egzemplarz japoński *Popiołów* Żeromskiego. Zapominają wtedy o patosie odległości, a więzy z lat studenckich i legjonowych tężeją i umacniają się jeszcze bardziej.

Można też im wierzyć bez wahania, że, gdy po Jego śmierci mówią sobie: „zostanie nam już tylko — życie bez Niego", rozstają się w swym rozrachunku życiowym z najszczęśliwszym okresem swego życia.

CZESŁAW ZNAMIEROWSKI



Marszałek na wizycie u pp. Kozłowskich w Przybysławicach dnia 9 sierpnia 1922 r.

JÓZEF PIŁSUDSKI W 13 PLANSZACH ZDZISŁAWA CZERMAŃSKIEGO.

W ikonografji Marszałka Piłsudskiego ważne miejsce zajmują prace Zdzisława Czermańskiego. Szkice portretowe odbijające postać Marszałka z okresu 1914—1915, wystawione w sierpniu, roku ubiegłego w I. P. S., wydane zostały przez Księgarnię J. Przeworskiego w pięknej tece. Jak dalece wydawnictwo odpowiada istniejącej potrzebie, świadczy rozejście się pierwszego nakładu w kilka miesięcy i ukazanie się wydania drugiego.

Prace Czermańskiego to nie dzieła monumentalne, opracowane kompozycyjnie jako portrety reprezentacyjne; niema w nich symbolu odległego, jest natomiast niezrównane w swej bezpośredniości odczucie postaci Marszałka. Jest w nich podobieństwo bezsprzeczne, dla każdego z nas widzialne i stwierdzone przez najbliższego towarzysza Marszałka, generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, generała Rydza-Śmigłego, który pisze „Wydaje mi się, że rysunek Czermańskiego daje jedną z najostrzejszych i najlepiej zaobserwowanych charakterystyk Marszałka Piłsudskiego".

Jak łatwo, opracowując postać Marszałka, uderzyć w fałszywą nutę — wszyscy o tem wiemy.

Prace Czermańskiego dzięki jego artyzmowi i dzięki może uczuciowemu stosunkowi do Marszałka, którego sam, własnemi oczami oglądał w różnych okolicznościach Jego własnego życia i w różnych wielkich momentach historycznych, przemawiają do nas językiem prostym, zyskując pełną aprobatę.

W 13 planszach ukazuje nam Czermański Marszałka; otwiera tekę szkic portretowy z roku 1935, a dalej idą wizerunki Jego jako ukochanego Komendanta w okopach (1914), otoczonego Beliniakami, w prostym mundurze, bez żadnych odznak z papierosem w ręce. — Potem już widzimy Pierwszego Marszałka Polski, przybywają wstęgi i ordery, przybywa troska o Państwo (w Paryżu rok 1921, „Na Wawelu"). I znów postać w szarym mundurze i z buławą w ręce, z oczami zapatrzonemi w szeregi niewidzialne defilujących przed Nim żołnierzy („Rewja").

A dalej studja portretowe „Marszałka z Wielką Wstęgą Virtuti Militari", wspartego na szabli, w płaszczu lub w mundurze, z odkrytą głową.

Wreszcie na spacerze w Alejach Ujazdowskich — ciężar obowiązków, lat i choroby pochyla plecy.

Obok zaś tych podobizn Marszałka, najbardziej bezpośrednie w tym cyklu, ukazujące Go nam w zaciszu domowem w otoczeniu córek (Sulejówek 1925), przy pasjansie, o którym wiemy, że był Jego ulubioną rozrywką, dającą wypoczynek strudzonym myślom.

A w końcu rozrzewniająca scena, odczytywania laurki w łóżku, laurki przyniesionej przez tak ulubione dzieci. Poprzez surowość oblicza przebija uśmiech pogody, którą Czermański potrafił wydobyć. Właśnie w tych kilku planszach, w których odrzucony został cały balast akcesorjów reprezentacyjnych, Czermański jest niezrównany.

Teka ta przynosi chlubę polskiemu drukarstwu, plansze wykonane w zakładach graficznych Straszewiczów w Warszawie, technika foto-offsetowa, zachowują niemal do złudzenia czar dotknięcia ręki na papierze, pyłek kredki, linję ołówka — dobrze wiec, że niska cena umożliwi rozejście się tego cyklu prac szeroko w społeczeństwie.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA

*

MICHAŁ SOKOLNICKI: *Czternaście lat.* Warszawa 1936. Instytut Badania Najnowszej Historji Polskiej.

Bardzo cennym przyczynkiem do dziejów walk o wolność Polski jest nowa książka Michała Sokolnickiego, zawierająca wspomnienia autora z pracy niepodległościowej, prowadzonej w latach przed wojną światową przy boku Józefa Piłsudskiego.

Wspomnienia, spisywane dziś po tylu latach, nie mają oczywiście takiej samej wartości źródłowej, jak pamiętnik lub dziennik pisany współcześnie. Ale w braku pamiętnika, wszyscy, którzy w dziejach odbudowania państwa polskiego wybitną odegrali rolę, powinni, choćby po upływie dłuższego czasu, spisać dzieje wypadków, w których brali udział i po których przeważnie nie pozostały inne ślady. W ten tylko sposób można uratować dla historyka nieutrwalone wątki ważnych wydarzeń historycznych, pod warunkiem, że będą one odpowiedzialne i bez *arrière pensée* przedstawiane.

Michał Sokolnicki rozpoczyna wspomnienia swoje od najwcześniejszych lat młodości, poczem dokładniej już opisuje lata studjów zagranicą, więc naprzód w Paryżu, gdzie ucząca się młodzież styka się ze starym światem, światem „zmalałej popowstańczej emigracji polskiej", światem drażliwych konfliktów i zapleśniałych pojęć. Zetknąwszy się z tem środowiskiem, autor buntuje się przeciw jego niemocy, zwracając swój umysł w tę stronę, skąd idzie powiew nowego życia i postępu. W konsekwencji rozpoczyna pracę w szeregach Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich. Po studjach paryskich, autor przebywa we Lwowie, potem w Poznańskiem i wszędzie bierze udział w życiu społecznem młodzieży, tak dla nas ciekawem, bo przecież w tych latach (1900 — 1904) wśród uniwersyteckich kolegów Sokolnickiego znajdujemy wielu przyszłych kierowników polskich walk o niepodległość.

Jednym z najciekawszych rozdziałów tej książki, to rozdział zawierający wspomnienia z lat 1904 i 1905 z pobytu w Zakopanem. Tam Sokolnicki bliżej zetknął się z Józefem Piłsudskim i na Jego rozkaz rozpoczął swą pierwszą poważną pracę polityczną, której celem było stworzenie Skarbu Narodowego. Bardzo ciekawe są ponadto momenty zetknięcia się z Żeromskim. Wyspiańskim i innymi przedstawicielami ówczesnej polskiej elity intelektualnej.

Następne lata 1905 — 1907, czasy rewolucyjne, stanowią drugą część pracy. Autor staje się już wtedy jednym z wybitnych członków P. P. S. i utrzymując bliską styczność z ludźmi stojącymi u steru partji, mógł w tej części podać nam sporo ważnych, nigdzie do tej pory niezapisanych wiadomości. Jako działający „w terenie" mógł podać wiele szczegółów z życia konspiracyjnego i z nastrojów u dołu. Dzięki temu rozumiemy społeczne podłoże ruchu i konflikt, jaki wytworzył się między tym dołem a Józefem Piłsudskim, zakończony rozłamem i utworzeniem „Frakcji Rewolucyjnej".

Ostatnia część wspomnień Michała Sokolnickiego obejmuje czasy do roku 1913. Na początku tej części znajdujemy garść bardzo interesujących uwag o akcji pod Bezdanami. Są to przeważnie relacje samych uczestników, które autor uzyskał od nich (nie wyłączając samego Józefa Piłsudskiego) wkrótce po akcji. Dalej zajmuje się autor przygotowaniami do tworzenia armji polskiej. Ostatni rozdział książki zawiera szczegóły kilku podróży autora z Galicji do Królestwa, z instrukcjami Komendanta Piłsudskiego. Najcenniejszemi w tej ostatniej części pracy są wiadomości dotyczące osoby Józefa Piłsudskiego, z którym autor w tych latach współpracował bardzo blisko, stając się dzięki temu jednym z tych, którzy o planach, metodach pracy, wreszcie o codziennem życiu Piłsudskiego — najwięcej mogą powiedzieć.

Książka M. Sokolnickiego, niewątpliwie ciekawa i żywo napisana, zawiera również wiele ocen subjektywnych, nie zawsze odpowiadających objektywnym sprawdzianom. Do takich niesprawiedliwych, powierzchownych i zadziwiających sądów należy np. także niefortunna charakterystyka dr. Karola Lewakowskiego, niezmiernie zasłużonego bojownika o niepodległość Polski w kraju i na emigracji. Krytyce tych stron dzieła M. Sokolnickiego należy jednak poświęcić więcej miejsca, co umożliwi głębsze zapuszczenie sondy w celu słuszniejszego wyczucia wątpliwie i jednostronnie przedstawianych faktów historycznych.

*

MONOGRAFJA PIŁSUDSKIEGO PIÓRA WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO W PRZEKŁADZIE HEBRAJSKIM.

„Delegatura okręgu stanisławowskiego Związku Żydów uczestników walk o niepodległość Polski" wydała niedawno książkę hebrajską, poświęconą pamięci Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. Jest to, jak dotychczas, wogóle pierwsza publikacja książkowa o Marszałku Piłsudskim w języku hebrajskim. (Jak się dowiaduję, ma się niebawem ukazać w przekładzie hebrajskim znakomite dzieło majora dra Wacława Lipińskiego p. t. *Wielki Marszałek).*

Zgon Marszałka Józefa Piłsudskiego wywołał ogromne wrażenie na społeczeństwie żydowskiem, nietylko w Polsce, lecz również daleko poza granicami kraju. Bowiem Marszałek Piłsudski oddawna należał do najbardziej popularnych historycznych postaci wielkich, światowych mężów stanu Polski w tem społeczeństwie.

O wielkiej popularności Marszałka Piłsudskiego w społeczeństwie żydowskiem — świadczy najdobitniej wielka ilość legend i powieści, krążących w tem społeczeństwie na tle jego życia, przeżyć i poczynań. Nawiasem mówiąc, warto byłoby zebrać je kiedyś. Bo acz często — jak to zwykle bywa z legendami i opowieściami ludowemi — są one raczej płodami fantazji ludowej — nie mniej jednak służyć mogą jako dowody wielkiej, niebywałej wprost popularności Marszałka Józefa Piłsudskiego w najszerszych warstwach ludności żydowskiej. Dlatego też z tem większem uznaniem należy powitać inicjatywę „Delegatury okręgu stanisławowskiego Związku Żydów uczestników walk o niepodległość Polski", która wydała *pierwszą* i jak dotychczas jedyną książkę hebrajską o Marszałku Piłsudskim.

Książkę otwiera list Nachuma Sokołowa do tłumacza hebrajskiego, w którym czytamy m. in.:

„Gratuluję pięknego czynu — przekładu życiorysu Józefa Piłsudskiego pióra Wacława Sieroszewskiego.

Piłsudski, który odbudował Polskę z gruzów, wskrzesił Jej heroizm i samodzielność polityczną, zasługuje na pomnik w języku, którego większość wielbicieli i znawców stanowią Żydzi z Polski. Józef Piłsudski był bohaterem w pojęciu żydowskiem — nie tylko na polu walki, lecz również jako Mocarz Ducha".

Na zakończenie swego listu do tłumacza Prezydent Organizacji Syjonistycznej omawia zalety życiorysu Piłsudskiego pióra Wacława Sieroszewskiego, który „godny jest i predestynowany do nakreślenia życiorysu Piłsudskiego, bo znał Go zbliska i wniknął wgłąb Jego psychiki".

Piękną i treściwą przedmowę napisał dla tej pierwszej publikacji hebrajskiej o Marszałku Piłsudskim prof. Majer Bałaban. Omówił w krótkich, ogólniejszych rysach działalność i życie Marszałka Józefa Piłsudskiego. Prof. Bałaban podkreśla wartość wychowawczą tego życiorysu i w końcu apeluje do młodzieży żydowskiej, aby nietylko zapoznała się z życiem i działalnością Marszałka Piłsudskiego, lecz uczyła się od niego trudnej a wzniosłej zarazem nauki poświęcenia i ofiarności dla kraju.

O samym życiorysie Marszałka Piłsudskiego pióra Wacława Sieroszewskiego mówić nie będziemy, gdyż to znakomite studjum ma już swe ustalone, nader zaszczytne miejsce w obfitej literaturze polskiej o Marszałku Piłsudskim. Co zaś się tyczy przekładu pracy Sieroszewskiego na język hebrajski (dokonał go p. Marek Asz) — niestety nie jest on bez zarzutu i pozostawia wiele do życzenia. Wogóle dzieło tak wytrawnego i rasowego beletrysty jak Wacław Sieroszewski powinno być przełożone przez beletrystę.

Zato zewnętrzna strona wydawnictwa jest zupełnie bez zarzutu. Papier doskonały, czcionki duże i ładne. Książkę zdobią fotografje Marszałka z różnych okresów Jego życia, począwszy od uczniowskiej z gimnazjum wileńskiego, a skończywszy na fotografji Marszałka na łożu śmierci.

JEHUDA WARSZAWIAK

*

LEGJONY W SZTUCE POLSKIEJ

Pamiętamy dobrze starannie wydany *Kalendarz Muzeum Narodowego w Krakowie* na rok 1934, zawierający na 52 kartkach tygodniowych reprodukcje najważniejszych arcydzieł malarskich tego muzeum i fotografje z jego życia. Na rok bieżący wydał rzutki Komitet Budowy Muzeum Narodowego w Krakowie nowy kalendarz, który swego poprzednika przewyższa pod każdym względem: głęboko przemyślaną redakcją, starannym doborem cennego materjału, układem i szatą graficzną.

Tym razem *Kalendarz* (stojący kalendarz „biurkowy") nie jest luźnym zbiorem takich czy innych reprodukcyj, lecz starannie opracowaną antologją o trwałej wartości. „Legjony w sztuce polskiej". Na karcie tytułowej widzimy świetny rysunek profilowy Marszałka Piłsudskiego w okopach, dzieło legjonisty Leopolda Gottlieba. Kartki tygodniowe ozdobione są setką rysunków, obrazów i rzeźb w reprodukcji rotograwjurowej. Mamy liczne potrety najbardziej zasłużonych Legjonistów, typów żołnierskich z Pierwszej Brygady, scen z życia Legjonów, pejzaży bitewnych i pobojowisk.

Bogata kolekcja rycin, reprodukowanych z Państwowych Zbiorów Sztuki, Muzeum Wojska, Muzeum Narodowego w Krakowie i zbiorów prywatnych — sygnowana jest nazwiskami malarzy: Czechowski, Dąbrowska, Gottlieb, Gumowski, Janowski, Jarnuszkiewicz, Jaźwiecki, Korpal, Kunzek, Maszkowski, Młodzianowski, Norblin, Rozwadowski, Wilk-Wyrwiński, Wodzinowski.

W galerji tej jaśnieją tak świetne nazwiska plastyków, jak: Czermański, Krzyżanowski, Rembowski, Sichulski, Wyczółkowski i Żelechowski. Miłą niespodziankę stanowi znakomity rysunek, będący dziełem podpułkownika Edwarda Rydza-Śmigłego. Rzeźbę wreszcie reprezentują: Chodziński, Gruberski, Juszczyk, Karny, Konieczny i Raszka.

Kolekcja zaiste bogata! Bukiet sercu drogi i wspaniały. Przy każdem nazwisku notatka informacyjna o portretowanym: że poległ na polu chwały, albo jakie stanowisko dziś zajmuje w kraju. Nierównej wartości artystycznej są te malowidła i rzeźby, ale łączy je wyczuwalna wspólnota świeżego spojrzenia, artystycznego autentyku, wielkiej chwili dziejowej chwytanej na gorąco.

Każdą kartę ponadto zaopatrzono w krótkie teksty; są to cytaty z dzieł Józefa Piłsudskiego, biskupa Bandurskiego, Sławoj-Składkowskiego i poetów. Doboru tego dokonano naogół bardzo szczęśliwą ręką.

Słowa są ważkie, mądre i żywe. To naprzykład, z wiersza Iłłakowiczówny:

„...proszę was tchu resztkami,
który na wysokościach
w Milczenie zastyga,
o weźcie na się sami
ten ciężar, którym za was dźwigał!
Weźcie go razem, społem.
niech jeden drugiego nie odpycha..."

Najważniejsze daty z życia Legjonów zaznaczone są w Kalendarzu, aż do tej najsmutniejszej: 12 maja.

Pięknej pracy dokonali: redaktor Kalendarza Alfred Włodzimierz Holender i wykonawcy szaty zewnętrznej — spółki „Centropapier", „Centrotektura" w Warszawie, fabryka „Solali" w Żywcu i drukarnia „Akropol" w Krakowie. Tak pięknej, że aż żal zdzierać kartę, gdy tydzień minie.

W. H.

WYDAWNICTWA PERJODYCZNE

Z nieznacznem opóźnieniem, jakie nastąpiło z powodu strajku drukarskiego, ukazał się 34 zeszyt *Niepodległości* (tom XIII zesz. 2).

W dziale artykułów zamieszczono pięć bardzo ciekawych prac:

Dr. M. Złotorzycka przedstawiła „Działalność Związku Ludu Polskiego w Anglji", w którym najważniejsze role odegrali znani nam z innych prac tejże autorki — wybitni uczestnicy Komuny paryskiej, jak Walery Wróblewski, Teofil Dąbrowski i Józef Rozwadowski. Szczególnie interesujące są w tej pracy szczegóły kreciej roboty carskich prowokatorów, zwalczających wszędzie poczynania polskich emigrantów.

Kazimierz Król, w następnym artykule, skreślił krótki szkic biograficzny, poświęcony Aleksandrowi Vacqueret, Francuzowi, który walczył w powstaniu styczniowem, a potem miłość swej przybranej ojczyzny przypieczętował więzieniem.

Dalej znajdujemy 2-gą część „Wspomnień starego działacza", Józefa Nowickiego, który po Sulkiewiczu zajął miejsce urzędnika komory celnej w Wierzbołowie i kontynuował przemyt bibuły socjalistycznej przez granicę. Wiadomości podane przez Nowickiego mają charakter rewelacyjny i są doskonałem uzupełnieniem dziełka „Bibuła" Marszałka Piłsudskiego, który wielu najciekawszych szczegółów tej pracy nie mógł ujawnić ze względów konspiracyjnych.

Tematem artykułu Aleksandra Rutkowskiego „Oświęcim w r. 1915" są prace ekspozytury departamentu wojskowego N.K.N., która prowadziła werbunek i propagandę legjonową w Małopolsce.

Dział ten zamyka dalszy ciąg pracy Franciszka Żurka, p. t. „Powiat Krasnostawski w walce o wolność", treścią jej są krótkie zarysy działalności każdej Komendy miejscowej P. O. W. w tym powiecie.

W „Miscellaneach" dr. E. Bobrowski opisał przebieg robotniczego obchodu mickiewiczowskiego w r. 1898 w Krakowie, zaś Jan Krzesławski przedstawił dzieje nielegalnie wydanego w r. 1916 — 1917 *Przeglądu Szkolnego*.

Jak już nieraz wspominaliśmy, począwszy od 30-go zeszytu, w *Niepodległości* drukowane są „Listy Józefa Piłsudskiego" w opracowaniu Leona Wasilewskiego i Władysława Pobóg-Malinowskiego. W obecnym zeszycie znajdujemy też dalsze 4 listy, dotąd nigdzie niedrukowane. Wszystkie pisane są do Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich w r. 1895 (lipiec — wrzesień) i dokładnie przedstawiają stan roboty partyjnej w kraju.

Zeszyt uzupełniają jak zwykle sprawozdania z nowszych wydawnictw na temat objęty programem czasopisma oraz liczne ilustracje.

TEATR

TEATR POLSKI: *Wieczór Trzech Króli* SHAKESPEARE'A, inscenizacja i reżyserja Karola Borowskiego, dekoracje i kostjumy Władysława Daszewskiego.

Trudno sądzić z przedstawienia, które jest rezultatem pracy zbiorowej, kto tu zadecydował o charakterze bardzo malarskim a mało teatralnym widowiska. Czy to inscenizator dał upust niewyżytym tęsknotom do komponowania kształtów i barw, zapominając o powierzonych jego pieczy interesach dramatu? Czy też dekorator narzucił swój sposób widzenia, nienajwłaściwszy w teatrze? Może zaś obaj w świętej zgodzie, bo przedstawienie jest jednolite, urabiali z żywych ludzi stylizowaną groteskę — jeden stawiał schodki i kolumny, drugi pozował aktora i pilnował, aby jego gest nie psuł malarskiej całości. Dość, że rzadko w teatrze nazwa „obraz" bywa rozumiana tak dosłownie jak przy tej inscenizacji. Zazwyczaj służy tylko do określenia części sztuki krótszej niż akt, jako że nie można ośmieszać się, pisząc wbrew odwiecznym konwenansom: „Komedja w 17 aktach". Tutaj każdy z piętnastu obrazów nadawałby się jak ulał na ilustrację do *Wieczoru Trzech Króli* w wydaniu zbytkownem dla wytwornisiów albo snobów, co często na jedno wychodzi.

Ponieważ rama sceny przy niewielkiej liczbie osób nie pozwalała na koncentrację obrazów, akcję cofnięto w głąb o parę planów. Wpoprzek sceny stanęła ściana koloru „neutralnego", przebita w środku prostokątnym otworem — inną ramą, już znacznie mniejszą. Tam dekorator umieszczał swoje kolumny białe i srebrne, ozdabiał schody papierowemi drzewami w wazonach i na słupkach rozpinał druty z suszącą się malowaną bielizną. Te dekoracje „syntetyczne" pałaców, ogrodów i chat wyznaczały — z gracją i charakterystycznem dla Daszewskiego rozbawieniem — osobom komedji ich pozycje. Aktorzy, jak zjawy rozgorączkowanej wyobraźni romantyka po zwiedzeniu galerji obrazów, przesuwali się na tle ściany i zajmowali swoje miejsca w kompozycji figuralnej.

Książę w szkarłatnej kurcie padał zmożony niewzajemną miłością na białą ławę i wspierał się o czarną kulę; dla równowagi obrazu po drugiej stronie stawał paź ubrany na czarno. Ten sam paź wysłany z miłosnem oświadczeniem witał okrutną piękność podniesieniem ręki i zuchowatem tupnięciem (niechaj mu Bóg odpuści!); poczem pozował się w pobliżu trzech srebrnych kolumn, pilnie uważając, aby dla efektu „rozplanowania" mieć za tło błękit między niemi. Tak pomyślana została cała sztuka. Popijająca wieczorem w ogrodzie kompanja pana Czkawki układała się wokół fontanny i wśród wybryków pijackiego humoru nie zapominała o wymaganiach malowniczości. Budziło to więcej współczucia, niż śmiechu. Niełatwo bowiem udziela się rozbawienie człowieka, który chwiejąc się na nogach, myśli uporczywie o zachowaniu równowagi — kompozycyjnej. Tylko w rzadkich chwilach, kiedy postacie ze stylizowanych budowli wychodziły na przód sceny, powracał do swych praw teatr, który w dobrem zdrowiu utrzymuje tylko ruch — ruch myśli, uczuć, sprawnego ciała ludzi. Pojedynek Violi i Chudogęby, wyswobodzony z pod tyranji stylizacyjnej, może służyć za dowód jak wiele może zrobić dobra technika reżyserska, kiedy zajmuje się tem, co do niej należy.

Przeważnie jednak reżyser, układając z ludzi i przedmiotów grupy malarskie, zaprzątał sobie głowę nie swojemi sprawami. Dzisiejszemu zmętnieniu idei teatru można przypisać, że robił to z taką uporczywością i konsekwencją.

Aktorzy w rolach plam barwnych i elementów kompozycji figuralnej czuli się naogół pewnie. Mieli zadanie ogromnie ułatwione: grał za nich kostjum i charakteryzacja. Uzupełniali je najwyżej rysami równie „syntetycznemi" jak dekoracje. Dobrze wypadło to u Węgrzyna (Malwoljo), Kurnakowicza (Czkawka) i Karczewskiego (Chudogęba). Gorzej u Łuszczewskiego (Orsyno) i Woskowskiej (Oliwja), którzy nie mieli do pomocy tyle szminki, kłaków i okularów. Najgorzej u Smosarskiej (Viola), czułej i rozkochanej, ale właśnie dlatego niebardzo przekonywującej w przebraniu młodego pazia. Mimo indywidualnych zastrzeżeń, trzeba wyznać, że był tu istotnie zespół karny i poddany myśli inscenizacyjnej.

Jeśli więc publiczność sztukę przyjmowała chłodno, uśmiechając się ledwie kącikami ust, to nie należy o to winić ani publiczności ani twórców i wykonawców przedstawienia. Wystawa obrazów nigdy nie wywołuje uczuć burzliwszych. Można tylko doszukiwać się powodów wciąż u nas wyraźniejszego wyrodnienia teatru. Coraz doskonalszy technicznie, bardziej świadomy swych artystycznych efektów — teatr ten z przedstawienia na przedstawienie zatraca poczucie dramatyczności życia, oddala się od spraw wymagających czegoś więcej niż poczucia estetycznego — bo siły i odwagi — i nabiera cech jakichś widowisk dworskich dla garstki wykwintnisiów. Obarczenie odpowiedzialnością za to Borowskiego, Daszewskiego czy obu naraz byłoby raczej komiczne.

TEATR NARODOWY: *Mieszczanin szlachcicem*, komedja w 3 aktach z baletem MOLIÈRE'A, przekład Tadeusza Żeleńskiego (Boya), układ sceniczny i reżyserja Aleksandra Zelwerowicza, dekoracje Władysława Daszewskiego.

Wystawienie *Mieszczanina szlachcicem*, to jeszcze jeden sążnisty krok, krok pod którym uginają się deski sceny, w te pustkowia formalizmu, gdzie daremnieby nasłuchiwać ludzkiego głosu. Szeroki uśmiech Molière'a nie dolatuje tu nawet w przygłuszonem echu. Mądra i trochę smutna wiedza o człowieku, ukryta na dnie szaleństw farsy, ginie doszczętnie. Może istotnie zapadła się w ziemię wraz ze społeczeństwem, z którego wyrosła i ślady jej rozniósł czas, jak rozniósł świetność dworu „Króla-Słońca"? — O tem właśnie, nie oglądając się na urzędowe zachwyty historyków, należało pomyśleć przed wystawieniem sztuki. Pytanie, czy da się z niej wydobyć tyle pożywnej treści, aby nasycić dzisiejszego widza — to pytanie zasadnicze. Na zdrowy rozum — ten zdrowy rozum, który w okresach twórczych nałamuje bez zbytnich ceregieli przeszłość do potrzeb czasu — nie mogłoby być więcej niż dwie odpowiedzi. Albo westchnienie nad znikomością spraw ludzkich i krzyżyk przekreślający całą aferę. Albo też, przy dopatrzeniu się cech „nieśmiertelnych" w tej satyrze, takie jej przystosowanie, żeby biła jak skórzana kula w kręgle — w naszych snobów, przedrzeźniaczy wielkości, czcicieli stanowisk i roztrącała ich na wszystkie strony z potłuczonemi nosami. To byłoby rzeczywiście odnalezieniem wartości żywych *Mieszczanina szlachcicem*.

Ale teatr znalazł jeszcze jedną odpowiedź, typową dla okresów jałowych: sztukę potraktował jako sposobność do efektów komicznych wyglądu i zachowania, tak oderwanych od słowa, że stojących już na krawędzi tych środków mechanicznych rozśmieszania, jakie stosuje np. film. Podobny komizm byłby w zachowaniu znakomitego profesora, gdyby mu — co nie daj Boże! — przyszło do głowy dla urozmaicenia wykładu fiknąć na podjum kozła i dosiąść katedry okrakiem: panie i panowie, epoka Ludwika XIV odznaczała się niezwykłą bujnością... Bardzo wątpliwe, czy słuchaczom przypadłaby do smaku ta ekstrawagancja. Możeby ktoś tam szczególnie gruboskórny albo zblazowany zarechotał bezmyślnym śmiechem, krztusząc się potem i zatykając usta ręką, po usłyszeniu tylko swego głosu w ogólnej ciszy. Większość nie wiedziałaby, gdzie schować oczy. Widz teatralny jest niemal w tej samej sytuacji. Nie może zdobyć się na śmiech, patrząc, jak Zelwerowicz w menuecie cwałuje po scenie, z wysuniętym językiem, z potem na twarzy pokrytej czerwoną farbą, wymachujący nagiemi ramionami, wpółrozebrany. Zelwerowicz w swojej wspaniałej, żywiołowej twórczości — właśnie dlatego, że żywiołowej! — miał już takie wybuchy okrutne i przekraczające miarę ludzkich konwencyj (np. w *Achilleis* w teatrze im. Bogusławskiego); ten odznacza się rozkiełznaniem siły chyba zbyt mało świadomem i dlatego trudno go układnie przemilczeć. Efekty gwałtownych ruchów tego wielkiego, ciężkiego ciała nie wzbudzały uczuć przyjemnych. Dla wywołania takiej śmieszności doskonale możnaby obyć się bez Molière'a i bez Zelwerowicza. Wystarczyłaby petarda za dziesięć groszy, rzucona znienacka pod nogi pierwszego z brzegu przechodnia o dość okazałej tuszy. Tylko, że to niewiele miałoby wspólnego z teatrem. W teatrze sztuka pisarza i sztuka aktora w jednakowej mierze zdradza jakieś sekrety serca ludzkiego — charakteryzacja, nawet najjaskrawsza w farsie, traci sens, jeśli rzeczywiście nie wyjawia charakteru. Przekonywa o tem zresztą szereg świetnych postaci w twórczości Zelwerowicza. Jourdain ze swojemi obnażonemi ramionami, lśniącą czaszką, przysiadaniem przy wymawianiu „e" i wyzwiskami... improwizowanemi — musi skromnie przystanąć na stronie.

Nietylko przecież pod tym względem przedstawienie szwankuje. Pozwolić wlec się farsie, to odrazu przetrącić jej krzyże. Klimatem przyrodzonym farsy jest tempo — zawrotne, oszołamiające, pokazujące w przelocie figury uczepione pociesznie do rozbrykanych wypadków. Ta — wlecze się. Aktorzy obracają się powoli, jak manekiny na wystawie u krawca, aby ukazać się ze wszystkich stron. I to im wcale nie wychodzi na dobre. Zostaje bowiem dość czasu na obserwacje, porównania, wątpliwości. Takie choćby: pani Jourdain (Janecka) jest sobie kłótliwą i złą mieszczką, Michasia (Żabczyńska) kuchtą warszawską, Lucylla (Żelska) trochę niemrawą panną na wydaniu, markiza Dorymena (Piaskowska) damą zakłopotaną bardziej trudną sztuką poruszania się w sukni panny Duménil niż myślącą o kokieterji, Kleont (Kreczmar) młodzieńcem skromnym i skrępowanym... Wszystkie te postaci grane są „zwyczajnie", bez szarży i bez zamiaru tworzenia figur groteskowych. Obok nich, w tym samym domu, stąpają jak w ataku podagry nauczyciele muzyki, tańca, fechtunku, filozofji, dalej hrabia Dorant i lokaje — jaskrawe i świadome karykatury. Łatwoby znaleźć uzasadnienie historyczne dla tak różnego potraktowania osób sztuki — nie inaczej zapewne było za czasów Molière'a. Trudniejby przyszło natomiast dać racje artystyczne, szczególnie dziś czułe na ostatnią z ginących jedności — jedność stylu. Zwłaszcza, że przy oglądaniu tych powykrzywianych postaci niebardzo się wiedziało, co w nich jest zamierzonym przez reżysera efektem karykatury, a co poprostu manierą aktora. W niezdecydowaniu pozostawali nauczyciele tańca (Karpiński), fechtunku (Karczewski) i muzyki (Solarski). Nie budził wątpliwości nauczyciel filozofji (Woskowski), wzorowy w swej farsowej wyrazistości, opanowaniu i umiarze. Nie budził wątpliwości także hr. Dorant (Frenkiel), ale z całkiem innych przyczyn — kwintesencja maniery wszystkich aktorów ze stu lat sceny polskiej przemawiała w jego drewnianym geście i napuszonym głosie.

Kiedy na zakończenie osoby komedji sformowały koło taneczne, przypadek wykrył dotkliwie, co to przez cały czas pętało im ruchy. Przy pierwszych już krokach wytworny hrabia przydeptał ogon sukni wytwornej markizie. Odtąd wszyscy inni od zażenowanej damy odsuwali się z wyraźną obawą, aby nie zostać sprawcami zdemaskowania, jeśli tak można powiedzieć, nieścisłości historycznych pod spodem. Przepych kostjumu, ta nieco jourdainowska słabość naszych teatrów, często źle służy doniosłej sprawie sceny: swobodzie aktora.

Kiepsko także tym razem służyła jej „konstrukcja" Daszewskiego, powtarzająca schemat użyty w *Panu Geldhabie*. Jak tam, piętrowa dekoracja architektoniczna zatłoczyła scenę bez widocznej potrzeby, gdyż schody i pomost górny poza rzadkiemi chwilami pozostawały niewyzyskane. Co do wartości malarskiej tej ściany, to okazało się z niej, że Daszewskiemu może również przydarzyć się kicz — i kiedy się przydarzy, to jest to kicz całą gębą, krzyczący, niewątpliwy, poprostu: kicz nad kiczami.

BOHDAN KORZENIEWSKI

FILM

DWA FILMY AMERYKAŃSKIE

Całe miasto o tem mówi. — Film jest pomyślany jako „opowiadanie żartobliwe", ale przynosi widzowi szereg wrażeń głębszych, poważniejszych. Żartobliwy opis wielkomiejskiego życia za oceanem — to jednocześnie opis *prawdziwy*, pełno tu trafnych i ciekawych obserwacyj i podanie ich „na wesoło" wartości obyczajowego dokumentu nie zmniejsza. Jest to poprostu metoda à la Mark Twain, a z tego zarzutu autorom filmu robić nie można.

Świetnie skomponowany scenarjusz rozwija motyw przygody. Przygody chyba najdziwaczniejszej, jaka się kiedykolwiek mogła zdarzyć. W dodatku, przygoda wdziera się w spokojne, doskonale wyregulowane

życie „człowieka z tłumu“, jakiegoś tam szarego urzędniczyny. Ten kontrast znakomicie podkreśla cudowność i niezwykłość wydarzenia. Punktem wyjścia jest uderzające podobieństwo do groźnego bandyty, ściganego przez policję. To „uderzające podobieństwo“ jest jedyną konwencją w całym filmie, ale nikogo nie irytuje: raz, że opowieść idzie po linji żartu, a po drugie — reżyser i aktor (Robinson) rozwiązali motyw „podwójnej roli“ po mistrzowsku. Rysunek obu postaci jest tak odmienny, tak sugestywny, że w końcu zapominamy o umowności całej historji i zaczynamy wierzyć w istnienie *dwóch* postaci (czy *dwóch* aktorów, jak kto woli)! Obie postacie (zwłaszcza urzędnik) mają mocną psychologję, ani przez chwilę nie są papierowe. W dużej mierze jest to zasługą doskonalej gry Robinsona, który z każdej sceny wydobywa nietylko efekty powierzchowne, ale akcenty znacznie głębsze: nietylko bawi, ale często wzrusza i przeraża. W scenach, gdzie obie postacie są razem, chętnie i łatwo zapominamy o filmowym triku, który pozwolił to sfotografować, tak wielka jest różnica w zachowaniu się obu postaci, tak każdy gest jest prawdziwy, przekonywający.

Szczytowym momentem jest zakończenie (śmierć bandyty), które w jakże niezwykły sposób rozwiązuje całą historję. Nie jakiś *deus ex machina*, czy banalne „policja zdążyła na czas“ kładą kres życiu gangstera, ale wyrok śmierci wydaje nań sam bohater. Ten jeden raz bowiem „uderzające podobieństwo“ zmyliło nawet kamratów bandyty i łagodny, spokojny urzędnik wykorzystuje tę omyłkę. Zachowanie się bohatera w tym momencie jest pewną niespodzianką, zresztą tylko sytuacyjną, bo psychologicznie jest zupełnie zrozumiałe: nie jest ani zemstą, ani „wymierzeniem sprawiedliwości“, tylko aktem koniecznej samoobrony, jedynem wyjściem z matni. Jest to jedyny dramatyczny moment w całym filmie i dlatego robi silne wrażenie.

Całość wykazuje rzadką czystość gatunkową: wszystko w tym filmie jest z tego samego materjału, w jednym utrzymane stylu, niczego tu nie można wyrzucić, uznać za zapożyczone, obce. Motyw — podobieństwa, podwójnej roli — widzieliśmy w kinie często, ale *Całe miasto o tem mówi* jest bez wątpienia jednym z najbardziej udanych filmów tego rodzaju.

*

Arcylokaj. — Szerokie rzesze warszawskiej publiczności przyjęły ten świetny film bardzo chłodno. Ale nawet ludzie kulturalni mówili: „owszem, niezłe, ale przecież tylko dlatego, że aktor był dobry. Bez Laughtona film byłby nudny!“

Prawda, *Arcylokaj* — to przedewszystkiem Charles Laughton, ale z tego żaden minus nie wynika, w kinie podobne oświadczenie wcale nie stanowi zarzutu. Pamiętamy, że tak zwana fotogeniczność, czy kinogeniczność aktora nie jest frazesem (pojęta naturalnie szerzej i głębiej niż w ujęciu pensjonarek). Aktor (jego cielesność) — to ważny element kinowy, bardzo często to jedno już decyduje o kinowości obrazu filmowego. Exemplum: filmy słynnych komików z Chaplinem na czele. W takich razach sam aktor staje się źródłem filmowych radości. W teatrze — sprawa aktora wygląda zupełnie inaczej! W utworze scenicznym można i należy oddzielać kreację aktora od tekstu, aktor na scenie jest zjawiskiem przemijającem, efemerycznem, podczas gdy na taśmie filmowej zostaje *raz na zawsze*, wiążąc się z widowiskiem kinowem organicznie! *Arcylokaj* pozwolił nam odkryć w Laughtonie nie tylko doskonałego aktora, ale także — i to najważniejsze — czystej próby kino.

Ale film ten miał jeszcze inne zalety. Sama historyjka, jakże odbiega od szablonowych recept, jakiemi nas karmią producenci! Ile w niej subtelnego humoru, dowcipu! Pewnie, że kto potrafi się śmiać z przygód Dodka na froncie, nie pozna się na *tym* humorze. Opowiadanie jest przezabawne: pewien hrabia utracjusz przegrywa w pokera pewnemu dorobkiewiczowi z Ameryki swego lokaja. Gra o lokaja — to pomysł małżonki Amerykanina, zwarjowanej na punkcie *savoir vivre* i *bon ton*. Otóż lokaj hrabiego ma nauczyć bogatego farmera dobrych manier. Bo trzeba państwu wiedzieć, że Mr. Ruggels nie jest zwykłym lokajem. Jest to klejnot, perła lokai, chodząca doskonałość. Niestety, farmer, przemiły swojak, człowiek-dusza gwiżdże na *savoir vivre*. Lokaja nazywa pułkownikiem, przyjacielem, o zgrozo, nic nie wie, co to znaczy „dystans społeczny“. Taki „pan“, to przewrót w życiu Mr. Ruggelsa. I oto jesteśmy świadkami, jak w doskonale funkcjonującym automacie budzi się c z ł o w i e k. Ruggels poznaje w Ameryce, co to znaczy być „za pan brat“ z innymi, co znaczy godność ludzka, poczucie swobody. Kiedy hrabia, stęskniony do swego arcylokaja, przyjedzie po niego aż do Ameryki — nie znajdzie już wiernego sługi, ale wyzwoleńca. Ruggels wprawdzie walczy jeszcze ze sobą, ale w tej walce zwycięży człowiek. Mr. Ruggels zostanie na nowym kontynencie jako właściciel „American-Grill-Room“. Któryś z moich znajomych zauważył z przekąsem, że droga od lokaja do właściciela knajpy jest niewielka, że „ewolucja“, jaką odbył, nie jest znów taka wspaniała, że nie ma się tu nad czem rozczulać... Nie przyznałem znajomemu racji. Żeby utrzymać się w granicach prawdopodobieństwa, żeby nie osłabić pointe'y — film musiał zatrzymać „wyzwolenie“ Mr. Ruggelsa w punkcie dość bliskim, zrealizowane marzenie musiało być w miarę przyziemne, bo musiało być w zgodzie z rysunkiem postaci. Gdyby autorzy filmu pasowali Ruggelsa odrazu na pułkownika (za jakiego uchodzi), albo na właściciela fermy — wpadlibyśmy w groteskę, a to nie leżało w intencjach autorów.

Kreacja Laughtona jest niezrównana. Sceny, w których „wyzwala się“ po raz pierwszy pod wpływem *whisky and soda* — to zupełne arcydzieło! Długi monolog tego aktora na końcu filmu — to wielkie zwycięstwo reżysera i montażu. A wszystko razem, choć oparte na popisie aktorskim — jest *kinem* pierwszego gatunku.

A. BOHDZIEWICZ

PLASTYKA

WYSTAWA STYKÓW W *ZACHĘCIE*

O Wystawie Styków w *Zachęcie* nie należałoby wogóle pisać; jeśli to czynię, to tylko dlatego, aby milczenie nie zostało zrozumiane według łacińskiej zasady: *qui tacet consentire videtur*.

Wobec sztuki Jana, Adama i Tadeusza Styków trzeba się oświadczyć wyraźnie krytycznie. Tem głośniej i dobitniej, im więcej słów zachwytu a nawet adoracji słyszy się z ust tłumów odwiedzających wystawę.

Występuje tu znamienny objaw, godny podkreślenia: rzadko spotykana prawie jednomyślność krytyki w osądzaniu sztuki Styków w sensie wybitnie ujemnym i wyjątkowo jej biegunowe stanowisko w stosunku do *vox populi*. Dzięki temu właśnie zagadnienie nabiera wagi i zmusza do zabrania głosu.

W ostatniem dziesięcioleciu sprawa Styków wybucha po raz trzeci, obecnie z najwyższem natężeniem i największą jednomyślnością — nie przynosząc żadnego jednak rezultatu.

Co przedewszystkiem pociąga i co daje zadowolenie gustowi publiczności odwiedzającej wystawę?

Atrakcją, która najwięcej posiada magnesu, jest nazwisko Tadeusza Styki — portrecisty, ciągnącego za sobą famę uznania Ameryki i Zachodu Europy, wykładającego się nieosiągalną jak na nasze stosunki sumą pobranych honorarjów. Podobają się jego portrety dam, realizujące w pewien nadwyraz przykry, lecz pozornie elegancki i wytworny sposób ideał „nowoczesnej kobiety“ o giętkiej sylwetce, o palcach niepomiernie wydłużonych, z paznogciami wymanikiurowanemi, o długich podczernionych rzęsach, wąskich brwiach itd.

Tabliczki pod obrazami robią swoje: S. A. R. Marie José — małżonka księcia Piemontu i sam książę Humbert obok. — Czy tak wielkie osobistości pozwoliłyby się portretować malarzowi słabemu lub bodaj miernemu?

Snobizm jawny, snobizm zamaskowany lub podświadomy — oto nuta, którą wychwycił i na niej gra z powodzeniem Tadeusz Styka.

Protest przeciwko jego sztuce to nie protest przeciwko malowaniu wytwornych i pięknych dam, to protest przeciwko gatunkowi jego sztuki. — Naklejka na mydło, etykieta na perfumy lub malowanka na pudełko od cukierków to jeszcze określenie za słabe; znajduje tu stosowne miejsce słowo pornografja — w takim sensie jedynie mogą być uznane akty kobiece, nadające się jedynie do ilustracji *La vie parisienne*, *Sourire* lub pisma o podobnym charakterze.

Wobec atmosfery uznania, jaką otoczone są przez ogół prace Styki, trudno jest wysuwać argumenty, któreby zdołały trafić do przekonania i zachwiać powszechny zachwyt.

Trudno jest poddawać malarstwo Styki szczegółowej analizie formalnej, gdyż sam on, świadomie chyba, wyrzuca swą sztukę poza nawias tych kryterjów! Sposób malowania tego artysty polega na niewybrednem efekciarstwie, które niestety dla niewyrobionego gustu stwarza wrażenie mistrzostwa. Styka lekceważy anatomję ciała kobiecego, nie dba zupełnie o obraz jako całość; z tła przypadkowego wyłaniają się na wygiętych długich szyjach osadzone głowy kobiece karmelkowo słodkie lub z akcentem pikantnej wampirowości. Styka nie dba zupełnie o kompozycję, nie trudzi się o wydobywanie walorów malarskich, polegających na wyszukiwaniu harmonij barwnych. Pewien swego powodzenia, myśli, że mu wszystko wolno: obcina rękę Paderewskiemu i w miejsce jej daje nieponętną brutalną plamę, toż samo czyni w portrecie prof. Zielińskiego, artystyczne niedbalstwo pokrywa pozorem swady malarskiej. Cóż z tego, że obie głowy, tak piękne w rzeczywistości, przyciągają nasze oczy? Prócz fotograficznego podobieństwa chodzi przecież o ujęcie całości portretu, który dopiero w ten sposób potraktowany może stać się dziełem sztuki.

Z Adamem Styką sprawa nie przedstawia się lepiej!

Piękne Europejki i Amerykanki przemieniły się w namiętne egzotyczne kobiety; — wielbłąd, Arab w białym burnusie, piasek pustyni, czasem palma—oto recepta według której artysta tworzy swe obrazy, wiecznie takie same.

Nie podpierajmy racji ich istnienia aktualnością abisyńską, jak chce tego autor wstępu do katalogu; na nic się to nie zda; aktualność bowiem przyszła do Adama Styki, a nie on do niej podszedł.

Obrazy Adama Styki to nie realizm, to nie obserwacja natury, która ma zawsze pewną odkrywczość, ale tylko fotograficzne ujęcie banalnie egzotycznych malowanek, wykorzystywanie do znudzenia tych samych efektów palącego słońca.

Uderza w tych obrazach zupełny brak poczucia harmonji barwnej: fiolet, czerwień mają rzekomo odtworzyć nastrój kolorytu południowego krajobrazu, a w rezultacie dają jaskrawą malowankę, nadającą się na etykietę do cygar.

W jakiem wnętrzu znaleźć mogą pomieszczenie obrazy Adama Styki? — Chyba w „pijalni“ herbaty.

Cykl *Quo Vadis?* Jana Styki (ojca Tadeusza i Adama) może mieć dydaktyczne znaczenie: poucza o prawdzie banalnie znanej, a często przepominanej — że najwznioślejszy temat nie uratuje słabego formalnie obrazu, i że nic tu nie pomoże przywoływanie w sukurs pięknych słów jak „chrześcijaństwo“, „polskość“, „wiedza archeologiczna“.

Wystawienie tych prac niepotrzebnie raz jeszcze przypomina o smutnej karcie naszego malarstwa, która się już odwróciła.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA

NASTĘPNY POWIĘKSZONY NUMER *PIONU* BĘDZIE POŚWIĘCONY KULTURZE ŁOTEWSKIEJ.

MUZYKA

DOROTHEA HELMRICH W KONSERWATORJUM WARSZAWSKIEM

We wtorek 10 b. m. w Konserwatorjum dała recital angielska śpiewaczka Dorothea Helmrich. W dziedzinie muzyki Anglja nie może poszczycić się takiemi kartami jak inne wielkie narody Europy. To też artystka, Angielka, wywołuje zrozumiałe zaciekawienie, swojego rodzaju „egzotyczne“. Do zainteresowania się tym recitalem, któremu patronowało Polskie T-wo Muzyki Współczesnej, skłaniało jeszcze i to, że część programu miała być poświęcona współczesnym kompozytorom angielskim. Usłyszeliśmy jednak tylko trzy pieśni, które nie odznaczają się „nowoczesnością“ i nie uderzają odrębnym, oryginalnym stylem. Dodawszy do tego dwie ludowe pieśni staro-angielskie — to byłoby wszystko, co zostało zaprezentowane z zakresu twórczości muzycznej współczesnej Anglji. Materjał, oczywiście zbyt skromny, by wysnuwać zeń jakieś wnioski. Resztę i to znakomicie większą resztę programu wypełniły utwory Scarlattiego, Glucka, Purcella, jeśli chodzi o muzykę klasyczną. Z kompozytorów nowszych: *Lieder eines fahrenden Gesellen* G. Mahlera, trzy pieśni Ericha Wolffa i dwie R. Straussa.

Dorota Helmrich posiada głos altowy o głębokim szlachetnym tonie, o skali sięgającej z łatwością w rejestr sopranu. Pod tym względem przypomina znakomitą i podziwianą w b. sezonie koncertowym A. Anderson. Tym bogatym materjałem głosowym operuje p. Helmrich swobodnie, przejawiając nieprzeciętny kunszt śpiewaczy. Mało wyrazista dykcja, a raczej angielski nalot fonetyczny w wymawianiu słów włoskich i niemieckich raził nieprzyzwyczajone do tego uszy warszawskie, szczególnie w pierwszych numerach programu. Jednak swoboda i różnorodność interpretacyjna, dostosowana do charakteru śpiewanych utworów, a świadcząca dodatnio o kulturze muzycznej interpretatorki, pokryła chropowate usterki wykonania, pozostawiając słuchaczom wrażenie jednego z piękniejszych wieczorów koncertów w Konserwatorjum.

ST. FURMANIK

Książki nadesłane do Redakcji

HISTORJA LITERATURY

JÓZEF UJEJSKI: *O Konradzie Korzeniowskim.* Warszawa 1936. Dom Książki Polskiej.

WŁADYSŁAW WAN: *Typy dramatów Słowackiego.* Bydgoszcz 1936.

„BIBLJOTEKA JUGOSŁOWIAŃSKA“

IVAN MAŻURANIĆ: *Śmierć Smail-agi Czengića.* Z przedmową dr. Milutina Cihlara-Nehajeva. Przełożył Antoni Bogusławski. Warszawa 1931.

IVAN CANKAR: Nowele. Z przedmową Vojeslava Molè. Przełożyła Ela Molè. Warszawa 1931.

PETAR II PETROVIĆ NJEGOSZ: *Górski wieniec.* Wydarzenie dziejowe z końca XVII stulecia. Ze studjum krytycznem Branka Lazarevića. Przełożył, wstępem i komentarzem opatrzył Henryk Batowski. Warszawa 1932.

IVAN GUNDULIĆ: *Osman.* Poemat historyczny o wojnie Chocimskiej z r. 1621 w XX pieśniach. (Pieśni XIV i XV, uzupełniające poemat, pióra Ivana Mażuranića). Ze wstępem o Gunduliću i jego *Osmanie* prof. Milana Reszetara oraz artykułem o rękopisach i przekładach *Osmana* w Polsce Wacława Parkotta. Poemat przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. Warszawa 1934.

BORISAV STANKOVIĆ: *Nieczysta krew.* Powieść obyczajowa z życia południowo-wschodniej Serbji z lat 1877—1880. Z przedmową Branka Lazarevića. Przełożył Wiktor Bazielich. Warszawa 1935.

ANDRIJA CZUBRANOVIĆ: *Cyganka.* Maskerata dubrownicka z r. 1527. IVAN GUNDULIĆ: *Dubrawka.* Gra pasterska z r. 1628. Ze wstępem o maskeratach i grach pasterskich w Dubrowniku przez Dr. Mihovila Kombola. Przekład Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego. Warszawa 1935.

(Wymienione utwory stanowią kolejne tomy „Bibljoteki Jugosłowiańskiej“, wychodzącej pod redakcją prof. Juljusza Beneszića, nakładem Domu Książki Polskiej.)

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., ½-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.